Nr. 13 (1471) Warszawa, 27 Marca 1909 r. Rok XXIX.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

**Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na 2-gi kwartał.**

## POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Niepowołani.

Sztucznie i tendencyjnie rozdmuchiwane w Rosji iskry wszechsłowiańskiego patryjotyzmu wybuchnęły w postaci osobliwego fajerwerku — t. j. odezwy Dumy do wszystkich parlamentów.

Nacjonalizm rosyjski pragnąc się odmłodzić — skąpał się w prądzie neoslawizmu. Miłość własna narodu, upokorzona przez klęski wojny japońskiej, nie doznała zadosyćuczynienia w poczuciu odrodzenia wewnętrznego. Przeciwnie; stany wojenne nietylko unicestwiły wszelkie samodzielne dążenia, lecz doprowadziły do takiego strasznego rozkładu wewnętrzne życie narodu, że każdy wydobyty na jaw wykrawek rzeczywistych stosunków tego kraju wywołuje publiczne zgorszenie w całej Europie. Dość wspomnieć Lidwaliadę, Rheinbothiadę — a wreszcie najwstrętniejszą ze wszystkich sprawę Azefa.

Każdy istotnie kochający swą ojczyznę Rosjanin czuje, że każdy z tych faktów plamą spada na jej imię i że wtedy tylko przedstawiciele jej będą mogli podnieść czoło wobec świata całego, gdy dzięki ich usiłowaniom odrodzi się ona skutkiem gruntownych wewnętrznych przekształceń. Niestety, Rosja ma widocznie dużo więcej krzykaczy politycznych, „istinnoruskich" *pawi* i *papug* niż gorąco kraj swój miłujących obywateli — w rodzaju Rodiczewa. Tym panom zdaje się, że dość uderzyć we wzniosłe struny, by wywołać wzniosłe wrażenie, że uroczysta toga obrońcy sprawiedliwości, pokryje zawsze skutecznie skrwawioną kurtkę huligana, że wystarczy naprzykład przystroić się w nowiutki mundur sokolski, by cała Słowiańszczyzna od Warty do Adrjatyku krzyknęła „Czołem!" i że taka polityczna maskarada doprowadzi w końcu do powetowania na Blizkim Wschodzie przegranej poniesionej na Wschodzie Dalekim.

Obecna polityka Rosji może w krótkim czasie dowieść, jak niebezpiecznym jest manifestowanie siły, której się nie posiada, jak kompromitującym potrząsanie sztandarem wzniosłych haseł, które się pogwałciło. Czuje to i rozumie Rodiczew, który w liście otwartym, cofającym jego podpis z pod odezwy Dumy, pyta: „Cóż my sami czynimy"? A dalej: „Czyż możemy wzywać innych, aby czynili to, czego my sami u siebie czynić nie możemy?" — „To, co możemy uczynić dla Słowian najbardziej ważkiego, najbardziej realnego — to powinniśmy zrobić u siebie w domu i sami".

Istotnie, czyż obecni posłowie, obecnej reakcyjnej Dumy, mieli moralne prawo wygłosić pod adresem parlamentów europejskich następujące słowa:

„Wobec zbliżających się groźnych wypadków, posłowie do Dumy spełniają swój obowiązek, czyniąc ostatnią próbę odwrócenia klęski wszechświatowej i zwracają się do mądrości i sumienia wszystkich zgromadzeń ustawodawczych świata ucywilizowanego.

Austrja bez zgody mocarstw zabrała dwie prowincje, a teraz zagraża Serbji. Sprawy Serbji bliżej obchodzą Rosję aniżeli inne narody Europy, ale niechaj narody te pomyślą, że czyny Austrji zagrażają nietylko Serbji, ale wszystkim ludom.

Po zwycięstwie Austrji nad prawem słuszności— wojna powszechna stanie się nieunikniona. Skutki jej mogą być tak straszliwe, że posłowie Dumy wzywają wszystkich przedstawicieli narodów europejskich

do ostrzeżeuia i powstrzymania Austrji od kroku, którego naprawić nie będzie można".

„Mądrość i sumienie" zgromadzeń ustawodawczych cywilizowanego świata są w pierwszym rzędzie odpowiedzialne za zgodne z prawem i sprawiedliwością uchwały tychże zgromadzeń, za wcielanie idei humanitarnych w życie wewnętrzne narodów, które reprezentują. Zgromadzenia ustawodawcze, które godzą się z wprowadzeniem walki politycznej do sądownictwa, z masowymi karami śmierci, z nieprzerwanym trwaniem sądów wojennych, z bezkarnością nadużyć administracyjnych, z opieraniem porządku publicznego na działalności prowokatorów, a przy tak opłakanym stanie rzeczy jedyną pilną i niezbędną reformę widzą w budowie coraz to nowych i coraz obszerniejszych więzień — nie powinny się ośmielać do udzielania nauk moralnych cywilizowanej Europie. Nie mają też prawa mówić o poszanowaniu narodowości ci, wobec których minister sprawiedliwości bez protestu obraża cały naród, mówiąc o zaśmieceniu sądownictwa rosyjskiego przez Polaków, a z brutalnością iście bismarkowską odtrąca skromniutkie żądanie mianowania polskich sędziów dla polskiego kraju.

Spokojnie słucha Duma tych słów: owszem, głosowaniem popiera ministra, a potym spieszy do kulnarów podpisywać szumną odezwę do ludów i parlamentów Europy!

A w tejże odezwie mimo jej patetycznego tonu, jakże falsetowe brzmią dźwięki! Dla „mądrości i sumienia" cóż to znaczy, czy gwałt lub rabunek dokonany został za zgodą, czy bez zgody tych mocarstw, z których każde na swoją rękę gwałtów lub rabunków się dopuszczało? Czyż tu chodzi o losy Serbji, czy o prerogatywy europejskich rządów, spoglądających zazdrosnym okiem na odnoszone tylko przez jeden z nich korzyści? Widziano większe gwałty, spełniane w obliczu całego świata nie mniej krzywdzące, nie mniej wołające o pomstę przez to, że były dokonywane za zgodą i przy udziale mocarstw europejskich, a nie poruszyły one sumienia narodów, nie wzbudziły wojny powszechnej, przeciwnie, stały się najsilniejszym cementem tego zbrojnego, żelaznymi obręczami okutego pokoju, który w starej Europie panuje miłościwie blizko pół wieku. Podstawą jego nie była nigdy ideja sprawiedliwości ani poszanowanie praw narodów, lecz równomierny podział łupów — a prawa mniejszych narodów służyły zawsze tylko silnym do wzajemnego wygrywania ich przeciw sobie, niby handlarskie wybiegi, użyte dla wytargowania wyższej ceny ustępstw. I Afryka, i Azja, i Półwysep Bałkański były przedmiotem targów i kompromisów dokonanywanych zawsze kosztem słabych, o ile ci nie umieli zręcznie wyzyskać współzawodnictwa potęg, by pod ich osłoną udzielaną na złość rywalizującemu sąsiadowi wyrosnąć i wzmóc się na silach.

Nie na Austrję samą spadnie odpowiedzialność za zwycięstwo „nad prawem słuszności". To prawo nie dziś i nie przez nią jedną zostało obalone. Odnoszą nad nim niezaszczytne tryumfy i pewne europejskie izby prawodawcze, do których Duma niebacznie się odwołuje. Czy liczy na to, że zapłonie oburzeniem sejm pruski, który uchwalił prawo o wywłaszczeniu, czy parlament niemiecki, który usunął język polski ze zgromadzeń publicznych?

Inicjatorom odezwy nie przyszło na myśl, że podpisy wielu ich towarzyszy z Dumy, położone pod odezwą byłyby wyszydzeniem jej treści?

Rozumiemy, że rozpaczliwe zrywanie się Serbji, zagrożonej w swym bycie, że obrona krajów anektowanych przed zachłannością wszechniemiecką może i musi znaleźć oddźwięk w wielu szlachetnych sercach. Niechże jednak ulgę im przyniesie myśl, że jakikolwiek będzie los „nieszczęsnej" Bośni i Hercegowiny— pod panowaniem austryjackim nie grozi im to, by miały zazdrościć Królestwu Polskiemu jego warunków politycznych, jego wzmocnionej ochrony, sądów wojennych, przepisów obowiązujących, praw wyjątkowych i bezwzględnego upośledzenia praw „rdzennej" ludności.

---

11)

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI.

# DUCHY.

## VI. BURZA.

### OBRAZ VI.

### Widok 1.

W jednej suterenie domu, położonego naprzeciw ministerjum policji, Ila utrzymywała magle; w drugiej, sąsiedniej, mieścił się skład węgli Litryna. Ruch maszyny nie ustawał ani na chwilę, bo gdy nie zajął jej nikt z przychodzących, zmieniający się spiskowcy maglowali nieprzerwanie kilka sztuk bielizny.

*Lokaj* Niech się pannie zdaje, że to katarynka — przyjemniej będzie kręcić korbą.

*Służąca* Owszem, ale niech pan przy tej muzyce tańcuje.

*Lokaj* Ja dosyć się wytańcuję codzień na szczotkach od froterowania... Ale doprawdy panna gra na maglu jak artystka. Gdzie się panna uczyła?

*Służąca* Będzie pan kręcił, czy nie? Bo rzucę wszystko i pójdę na skargę do gienerała.

*Lokaj* Z panny dobra kotka. O byle co zaraz mruczy i pazury wysuwa. Co się panna tak do gienerała łasi? Żeby chociaż czasem wziął na kolana i pogłaskał...

*Służąca* Gdybym tylko chciała...

*Lokaj* No, i gdyby on chciał... Mnie panna nie opowiadaj. Chociaż często się przebiera i niepostrzeżenie znika, ja wiem zawsze, gdzie jest, i wiem, co robi, zanim zrobi.

*Służąca* A czy też pan wie, coby on zrobił, gdybym mu doniosła, że pan go szpiegujesz?

*Lokaj* Kazałby mnie zatracić w jakim lochu a pannie

Trudno też wyobrazić sobie, by „ujarzmiona", jak mówi hr. Bobryński, Ruś Halicka, walcząca o uniwersytet rusiński miała zazdrosnym okiem spoglądać na Ukrainę, nie posiadającą dotąd rusińskich szkół elementarnych.

W domu powieszonego nie mówi się o sznurze. W Rosji obecnej bądź to o braterstwie słowiańskim, bądź o poszanowaniu praw narodowości mówić — jest conajmniej ryzykowne.

Do roli obrońcy praw słuszności—niestety—Rosja dzisiejsza tak samo jest nieprzygotowaną, jak do stoczenia zwycięzkiej walki z niemieckim „Drang nach Osten".

Szczerze mówimy — niestety.

Gdyby cztery lata temu kierownicy jej nawy politycznej byli zrozumieli, jak dalece nieuchronnym po azjatyckiej klęsce jest stanowcze zerwanie z dotychczasowym systemem rządzenia, jak niezbędną podstawą zewnętrznej potęgi jest wewnętrzne zdrowie organizmu państwowowego, gdyby zamiast efektownego głoszenia haseł pokojowych w Hadze przenieśli tę akcję humanitarną do własnego kraju, dobrowolnie rozbroiwszy się na wewnątrz, złożyli broń, którą zwalczali jego obywateli, a zamiast rozstrzygać wewnętrzne zatargi siłą uzbrojonej pięści oddali je do rozstrzygnięcia „mądrości i sumieniu" wybrańców narodu, gdyby na podstawie powszechnej równości i wolności zawarli przymierze bratnie z ludami obcymi mieszkającymi w granicach państwa, a w pierwszym rzędzie z Polakami jako z przednią strażą gnębionej przez Niemców Słowiańszczyzny, gdyby dziś Królestwo Polskie cieszyło się autonomją szerszą niż galicyjska, na całym obszarze Rosji gdyby wrzała uczciwa, do powszechnej oświaty, dobrobytu, kultury zmierzająca robota społeczna — zasadniczymi swobodami ubezpieczona — i osłaniana — wówczas Rosja miałaby moralne prawo, a znalazłaby materjalną siłę do walki w obronie słuszności przeciw zaborczej przemocy.

Niestety, jednak — szukano wówczas przymierza i oparcia nie wewnątrz, lecz zewnątrz. Reakcyjny rząd niemiecki — ten sam, który teraz pcha Austrję na półwysep Bałkański — służył radą i pomocą moralną w walce przeciw wewnętrznemu wrogowi, t. j. przeciw tym Polakom i Rosjanom, którzy nie na gruncie rasowym lecz idejowym już byli gotowi się zbratać i na nowych podstawach po długoletnich walkach zawrzeć sojusz do obustronnego wyzwolenia i odrodzenia zmierzający.

Czarne siły reakcji wzięły górę, zerwano cudownie nawiązaną tkankę nowych dążeń i ideałów, zielona ruń nowego życia uległa zagładzie, z każdym rokiem, z każdym miesiącem posuwało się dalej zgubne dzieło zniszczenia, a dziś ponad ruiny i zgliszcza wypuszczono z różczką oliwną białą gołębicę, która ku wielkiej uciesze Europy grucha naiwnie o miłości bratniej, o sprawiedliwości i pokoju.

Pilnuj własnego gniazda, ptaszyno, to bezpieczniej. Nikt ci i tak nie uwierzy, a, kto wie — może na twych skrzydłach szukać będą cyfrowanej depeszy.

*M.*

## Polityka społeczną w walce z chorobą.

Niewątpliwe postępy higjeny publicznej, a w pierwszym rzędzie kanalizacja, wodociągi, towarzysząca im czystość, nadzór nad środkami spożywczymi, pomoc w nagłych wypadkach, zapobieganie epidemjom i t. p. obniżyły śmiertelność w miastach cywilizowanego świata i podniosly zdrowotność ogółu.

Polityce społecznej pozostawiono walkę z chorobą, t. j. stosowanie medycyny i jej zabiegów wśród najszerszych warstw pracującej ludności. O ile ta polityka rozegrywa się w zakresie urządzeń patronalnych, jak było aż dotąd w Królestwie, instytucję ubezpieczeniową zastępuje lekarz fabryczny, a w najlepszym razie szpital czy szpitalik na kilkadziesiąt łóżek. Ubez-

---

sprawił lakierowane buciki. Może panna je dziś jeszcze dostać.

*Służąca* Ja nie jestem szpiegówka a pan jesteś kundel, bo ciągle szczekasz i gryziesz. Niech taki pies sam magluje.

*Ila* Ja państwo pogodzę: niech panna idzie do domu a ja zastąpię.

*Służąca* Pani się zmęczy.

*Ila* Jestem przyzwyczajona a stałym klijentom trzeba usłużyć.

*Służąca* Dziękuję pani *(odchodzi).*

*Ila* *(kręcąc korbę z lokajem)* Czy wasz pan rzeczywiście srogi?

*Lokaj* Dawniej taki nie był; ale od czasu jak sam zaczął badać więźniów, nie można w niczym mu się sprzeciwić, bo wpada we wściekłość: kudły mu się jeżą, ślepie na wierzch wyskakują i wtedy gotów zabić człowieka jak robaka. Nie wolno mówić, ale kilku rzeczywiście zabił.

*Ila* Pan ma ciężką przy nim służbę.

*Lokaj* To nie służba, ale katusza. Ani chwilki odpoczynku. Już o 6-ej rano przyjmuje interesantów — eleganckich panów i panie, którzy co pewien czas zmieniają odzież, zarosty, kolor włosów, tak że trudno ich poznać. Nigdy nie przychodzą razem i nie widzą się — wpuszczam ich jednymi drzwiami a wypuszczam drugimi. Podczas ich bytności nie wolno nikomu wchodzić do jego gabinetu. Od 10 do 12 czyta listy ze swoim sekretarzem. Następnie je śniadanie i schodzi na dół do biura, stąd o 3-ej jedzie do swej utrzymanki, u której śpi godzinę. O 4-ej udaje się do króla. O 6-ej wraca na obiad, zawsze strzeżony przez cywilnych policjantów, rozstawionych co kilkadziesiąt kroków na ulicy. O 8-ej przyprowadzają mu szczególnie ważnych aresztantów, z którymi albo rozmawia spokojnie, albo wrzeszczy, wymyśla, czasem bije. To jest najokropniejsza pora dnia. Chociaż te krzyki, jęki, uderzenia słyszę przez drzwi, trzęsę się jak w konwulsjach. A muszę przy tym pilnować, ażeby w sąsiednich pokojach nikt się nie znajdował, zwłaszcza jego żona, która jest bardzo zdenerwowana, chora i gdy słyszy te sceny, wpada w obłęd. Ach, pani, jak ja bym chętnie rzucił tę piekielną służbę, ale ile razy poproszę o zwolnienie, pan mi odpowiada: nie możesz odejść, bo za dużo wiesz, a jeżeli uciekniesz, wydobędę cię z pod

pieczenie zjawia się dopiero tam, gdzie opieka nie jest narzuconą z góry, choć powinną być prawnie uregulowaną, ale wynika z samopomocy samych warstw pracujących, złączonych w instytucji kasy dla chorych.

Ubezpieczenie na wypadek choroby stanowi przeto pierwszy krok w ogólnym systemie ubezpieczeń społecznych i w formie dobrowolnej koalicji, czy państwowego przymusu istnieje już dziś we wszystkich krajach. Formą podstawową opieki nad chorymi jest zawsze kasa t. zw. chorych, której uczestnikami jest ludność pracująca pewnej miejscowości, okręgu czy pojedyńczej fabryki. Jednostką prawną, która zakłada kasę, może być również stowarzyszenie zawodowe, cech czy jakakolwiek inna korporacja. Uczestnikami kas są pracownicy i zarobkodawcy, oraz część pracowników samodzielnych, których dochody nie przekraczają pewnego maximum i którzy ubezpieczają się dobrowolnie.

Udział każdej z wymienionych kategorji w opłatach jest koniecznym. Zarobkodawcy mają obowiązek moralny i prawny dbać o zdrowie robotników, redukują go naturalnie do możliwie najniższych granic.

W Niemczech i w Austrji ponosi zarobkodawca jedną trzecią tygodniowych opłat. Ludność robotnicza, która wogóle zaniedbuje zdrowie, a w chwili choroby najczęściej nie ma środków na opłacenie lekarza i apteki, przez stałe tygodniowe opłaty stwarza sobie możność korzystania z pomocy i opieki. Kasy, zwłaszcza, o ile sprawa jest już prawodawczo uregulowaną, przyzwyczają ludność do przezorności i zmuszają do dbałości o zdrowie. Do kas stowarzyszeniowych, opłaty płyną niekiedy od samych stowarzyszonych, którzy pokrywają je we wkładce ogólnej, lub opłatą specjalną. Rolę takich kas chorych odrywają w Anglji znane Friendly societies, we Francji Caisses de secours mutuels, w których udział jest dobrowolnym.

Świadczenia kas chorych dostarczane są członkom w znacznej części w naturze. A zatym: porada lekarska w ambulatorjum kasowym lub w domu, lekarstwa, środki opatrunkowe, wzmacniające napoje jak mleko, wino, koniak (jak długo oba ostatnie za napoje wzmacniające uchodzą), leczenie szpitalne, pobyt w sanatorjach, porady u specjalistów w chorobach uszów, zębów, oczów, środki ortopedyczne jak kule, sztuczne nogi, pasy rupturowe, zęby, okulary i t. d. W pieniądzach chory, uznany za niezdolnego do pracy, otrzymuje przeważnie $^2/_3$ swego zarobku, czy też kwoty, na którą był ubezpieczony.

W Austrji i w Niemczech zapomogi te wypłacane być mogą, dotąd najwyżej przez 20 tygodni w roku.

Jeżeli chory potrzebuje wyjazdu na świeże powietrze, kasa udziela mu zasiłek o 50% wyższy od zwykłego, a często doradza miejsce pobytu.

Bardzo ważną rubrykę w świadczeniach kas stanowią zasiłki dla położnic dawane przez cały czas, podczas którego prawo zwalnia je od pracy (4 — 6 tygodni).

Kasa ograniczać się przecież nie powinna leczeniem chorób ostrych. W interesie członków swych, o także zdrowatności ogólnej, dbać również musi o chorych chronicznie.

Niemieckie kasy chorych podjęły na wielką skalę walkę z gruźlicą. W latach 1898—1905 krajowe zakłady ubezpieczeń wydały 33 miljony marek na sanatorja antytuberkuliczne. Obecnie liczą ich 85 obejmujących 8000 łóżek, obok 35 prywatnych na 2000 łóżek. Dzięki temu, jak obliczają, rocznie 52 tysiące suchotników leczyć się może w tym kraju racjonalnie, nie szerząc zarazy wśród swoich rodzin.

Gruźlica, ta proletarjacka choroba znajduje w instytucjach proletarjatu mocarza, który zmaga się z nią potężnie. Drugim najbliższym bodaj zadaniem, jakie podjąć powinny instytucje ubezpieczeniowe, będzie urządzanie sanatorjów dla alkoholików, równie koniecznych ze względu na rozmiary alkoholizmu we wszystkich krajach i nie mniej od sanatorjów dla suchotników racjonalnych, od czasu gdy pijaństwo uznanym zostało za chorobę.

Nowa ustawa ubezpieczeniowa w Austrji, o której pisałam już w *Prawdzie* (Nr. 7 i 8) przewiduje w § 113 zakładanie sanatorjów dla chorych chronicznie z funduszów, jakie gromadzić się będą w centralnym zakładzie ubezpieczeń w Wiedniu. Kasy chorych byłyby zobowiązane umieszczać w nich swoich chorych członków na tych samych warunkach, co w szpitalach, a zatym wypłacając jednocześnie rodzinie przynajmniej połowę zapomogi, należnej choremu, o ileby ten leczył się w domu. Zakłady te służyłyby również dla inwalidów pracy, ażeby przywrócić im o ile możności zdrowie i siły.

Zwalczanie chorób ostrych i chronicznych, dopomaganie cierpiącym członkom i ich rodzinom, to dopiero jedna część celów dla kas chorych. Na celach tych poprzestawać muszą one dotąd przeważnie, a stopień ich urzeczywistnienia zależy od zamożności kasy, t. j. ilości i płac, a zatym wkładek składających ją

---

ziemi i tak wysiekę, że Bóg nie pozna w tobie swego tworu.

*Ila* Trudno, cierp pan do czasu. Czy on nigdy nie zmienia godzin i kolei swoich zajęć?

*Lokaj* Od roku chodzi jak najdokładniejszy zegar. Tylko kochanki zmienia co parę miesięcy.

*Ila* Gdzie mieszka obecna?

*Lokaj* Na ulicy Szerokiej — aktorka Urla. Już wszystko zmaglowaliśmy. Dziękuję pani za pomoc. Trzeba spieszyć, niedługo będzie obiad. Czy to ja powinienem chodzić do magla? Muszę jednak, bo pan nie chce trzymać wiele służby, ażeby się do niej nie wślizgnął rewolucjonista. Mnie ufa, a z tą dziewką odprawia takie nabożeństwa, jak gdyby miała z nim urodzić mesjasza.

Zabrał bieliznę i wyszedł. Z ulicy wsunął się Foral.

## Widok 2.

*Foral* Daj co do maglowania, bo muszę z tobą pomówić.

Ila nawinęła kawał płótna na wałek.

— Daleko się posunęli?

*Ila* Skończyli.

*Foral* Podkopali się głęboko pod gmach ministerjum?

*Ila* Tak. Dziś pracowali bez odpoczynku całą noc. Dużo im czasu zajęło przebicie grubego fundamentu. Ostatnią dobę przeżyliśmy w okropnym strachu. Chociaż ciągle turkoczemy maglem a Litryn rozbija węgiel i rąbie drzewo, dobywały się odgłosy z podziemia. Jakaś chora lokatorka z pierwszego piętra kilka razy wzywała stróża, ażeby zbadał, skąd pochodzi podziemny huk, który jej nie daje spokoju. Odpowiedziałam ostro, że jeśli wynajęłam mieszkania na magiel, to muszę go mieć w ruchu.

*Foral* Mina już sprowadzona?

*Ila* Witel przywiózł ją między węglami do Litryna.

*Foral* A więc dziś już możnaby wysadzić!

*Ila* Arjos odwleka.

*Foral* Znowu się waha?

*Ila* Ta przeklęta synogarlica rozmiękcza go swym stękaniem. To jest prawdziwa nasza choroba. Założyła jakieś bractwo dewocji rewolucyjnej i odciąga nam, zwłaszcza kobiety.

*Foral* Przecie ją uwięziono.

członków, sprawności zarządu, doboru lekarzy i t. p. Po za tym pozostaje cała ogromna dziedzina higjeny.

Przedewszystkim oddziaływać tu muszą lekarze, nie ograniczając się do środków leczniczych, lecz dając rady i przepisy jak żyć, aby być zdrowym.

Należą tu rady co do wychowania niemowląt, zachowania się położnic, przewietrzania i utrzymywania mieszkań, ostrzeżenia co do szkodliwości alkoholu, w pewnych razach tytoniu, porady co do odżywiania i t. p. Najpilniejszym może i najmożliwszym do urzeczywistnienia, byłaby walka z alkoholizmem ludności robotniczej. Już samo niezalecanie napojów alkoholowych, zastępowanie ich w terapji przez inne środki, a niema bodaj wypadku, w którym zastąpić by ich nie można, oddziałałoby bardzo skutecznie.

Zapisywanie mocnego wina czy koniaku choremu, który i tak skłonny jest wierzyć w uzdrawiający i posilający wpływ trunku, umacnia go tylko w jego przyzwyczajeniach, gdy jest zdrowym. Po za tym w poczekalniach mogłyby znajdować się tablice, pisma, broszury, sentencje, które mimowoli utrwalają swą treść w umysłach podrażnionych cierpieniem. Kasy urządzać by też powinny dla swoich członków odczyty i pokazy z zakresu higjeny, rozszerzać odezwy, a niewątpliwie czas i pieniądz na to wydany opłacałby się przez podniesienie zdrowotności, a zatym zmiejszenie liczby chorych i wydatków.

Niezbędnym jednak przy rozszerzeniu sfery działalności środkiem jest zwiększona zamożność kasy. Pozwala ona na większą liczbę lekarzy, dogodny lokal, staranną administrację. Lekarze i personel nie przeciążony pracą, lepiej odnoszą się do chorych, gdy maszynowe, że tak powiem załatwianie spraw, nie uniknione tam, gdzie lekarz ma np. 20 pacjentów przez 2 godziny urzędowania, powszechne wywołuje niezadowolenie. Ponieważ kasy najczęściej ograniczone są do funduszów płynących z wkładek ubezpieczonych i pracodawców, niewłaściwym okazał się typ drobnych instytucji.

Z tego powodu nowy projekt austryjacki, na który raz jeszcze powołać sią tu muszę, przewiduje jako minimum dla istnienia kasy 200 członków.

I ta liczba jest przecież niedostateczną. Wielkie, liczące dziesiątki, a nawet setki tysięcy członków, kasy działały wiele poprawniej od małych, oszczędzając na kosztach administracji, lokalu, a rozporządzając całym sztabem lekarzy, dobrych specjalistów i dostarczając członkom wszelkich środków leczenia.

Najmniejsze kasy liczyć by powinny przynajmniej 500 członków.

Kasy chorych stały się już dziś finansową potęgą, która obraca miljonami.

Mam pod ręką materjał dla kas chorych w Austrji, z którego okazuje się, że w ciągu 17 lat ich istnienia liczba członków się podwoiła (z $1\frac{1}{2}$ miljona na 3), dochody wzrosły z 25 na 64 miljony koron, a wydatek na jednego członka podniósł się z 15 na 20 koron rocznie w 1906 roku.

Przeciętnie na 100 członków wypadało w 1906 r. 51 zachorowań, a $9\frac{1}{2}$ dni choroby na jednego. Wydatki zaś rozdzielały się w następujący sposób: Zapomoga 10,1 korony; pomoc lekarska 3,1 korony; lekarstwa 2,3 korony; szpital 1,3 korony i t. d.

Najwyższe kwoty idą przeto na zapomogi. Z 21,6 koron, płaconych w 1906 r. przeciętnie przez jednego członka kasy, prawie połowę zwracano mu w zasiłku. Wszystkie zaś świadczenia pomocy lekarskiej kosztowały jednostkę niecałe 12 koron rocznie.

Niewątpliwie taki rezultat możliwym jest jedynie dzięki wzajemnemu ubezpieczeniu. Zrzeszenie w tym jak i w każdym innym wypadku okazuje się potęgą, która przedewszystkim daje zadziwiająco korzystne rezultaty finansowe: Taniość opieki lekarskiej, medykamentów i innych obok stałych przewyżek kasowych, które w całej Austrji wyraziły się za cały okres przewyżką 44 miljonów koron. Pozatym śmiertelność obniżyła się z 10 na 8%, a wyrobiła się większa dbałość o zdrowie.

Niesłusznym jest przeto uprzedzenie, które zwłaszcza wśród świata lekarskiego zauważyć się daje, zwrócone przeciw kasom chorych. Jednostki uprzywilejowane tracić mogą przez powstanie kas chorych, tak jak przez każdą organizację, ogół zyskuje. Warunkiem musi tu być przecież dobór odpowiednio przejętych sprawą i wyszkolonych ludzi. Kasa jest bowiem autonomiczną, finansową instytucją. Każde nadużycie, czy niedbalstwo będzie w niej podwójnie szkodliwe: dla interesowanych, oraz dla idei którą dyskredytuje.

Tymczasem kasa, sumiennie i po obywatelsku prowadzona, pod kierunkiem zarządu, którąby w dwuch trzecich wybierali sami ubezpieczeni, dać musi rezultaty pomyślne. Dodatnie wyniki finansowe gospodarki kas austryjackich przypisać należy w znacznej części temu, że są one przeważnie w ręku demokracji społecznej.

---

*Ila* Płytko siedzi, łatwo się wydobędzie. Arjos porusza wszystkie stosunki i wpływy, ażeby ją uwolnić. Z niepokoju szaleje.

*Foral* Szaleje — mówisz. Tym lepiej, łatwiej da się nakłonić do pośpiechu.

Wszedł Arjos blady, ze złowrogim ogniem w oczach.

## Widok 3.

*Arjos* Wszystko gotowe?

*Ila* Tak.

*Arjos* Co robią?

*Ila* Czekają w podkopie. Od lokaja, który maglował bieliznę, dowiedziałam się szczegółowo, o której godzinie i dokąd minister wychodzi i wraca. W tej chwili jest u króla; przyjeżdża tu o szóstej.

*Arjos* (*do Forala*) Zaczekaj na mnie chwilkę.

Przez tylne drzwi udał się do podziemi.

*Ila* Widzisz? Policja.

*Foral* Jesteśmy zdradzeni.

*Ila* Trzeba zachować spokój.

*Foral* Bez walki mnie nie wezmą.

Wkroczyło kilku urzędników z właścicielem domu. Foral maglował bieliznę.

*Urzędnik* Z czego składa się ten lokal.

*Właściciel* Tylko z tej sutereny i małej piwnicy. Może pan ją chce obejrzyć?

*Urzędnik* Nie! (*do Ili*) Ministerjum policji nabywa ten dom i z suteren usunie natychmiast wszystkich jego lokatorów.

*Ila* A gdzie ja się podzieję?

*Urzędnik* Nas to nie obchodzi.

*Właściciel* Dam pani doskonałą suterenę w drugim moim domu.

*Ila* Ale ja tu mam klijentelę.

*Właściciel* Pani jesteś tak porządna maglarka, że będziesz ją miała wszędzie. Zresztą stąd niedaleko.

Wyszli.

*Ila* To niespodzianka!

*Foral* Tym bardziej nie można zwlekać.

*Ila* (*do wchodzącego Arjosa*) Przed chwilą zawiado-

Nie mniej ważnym jest dobór lekarzy. Powinni to być nietylko dzielni specjaliści, ale i ludzie wyszkoleni społecznie i demokratycznie myślący. Posada lekarza kasy chorych nie jest synekurą, jakkolwiek daje skromny, stały dochód [1].

Natomiast daje ona sposobność do oddziaływania dodatniego na liczne warstwy ludności pracującej. Lekarz powinien się do niej przygotować nietylko przez znajomość medycyny ogólnej, ale także higjeny i medycyny społecznej. Pojawiła się w Niemczech myśl, aby te przedmioty miały na uniwersytetach specjalne katedry.

Jeżeli dobre chęci i humanitarne uczucia poparte będą odpowiednią wiedzą, lekarze kas chorych dojść mogą do wielkiego w społeczeństwie znaczenia, jako prawdziwi ustawodawcy higjeny i opiekunowie zdrowia klas pracujących.

*Dr. Z. Daszyńska Golińska.*

[1]) W Krakowie 1200—2000 koron rocznie.

# Kontrakty Ukraińsko-Polskie.

Z faktem, iż naród ukraiński budzi się ze snu i z coraz to większą energją upomina się o należne mu prawa i odpowiednie stanowisko w rzeszy ludów słowiańskich, liczą się Polacy nie zawsze dość ściśle, choć zaczynają rozumieć, że liczyć się trzeba. Ani jarzmo tatarskie, ani samowola magnatów polskich, ani „miecz i ogień” szlachecki, ani niemiecka sztuka dyplomatyczna Piotra W. lub Katarzyny II — nie zdołały zgnieść Ukrainy. I w ogólności, wytępienie narodu zdaje się być nad siły nawet „piekielne”, jak o tym wymownie świadczy historja Europy zachodniej. Różne ludy o życie dopominały się wtedy właśnie, gdy już statyści pewni byli, że na zawsze pogrzebane zostały. Nam tedy Polakom, obywatelstwu, ziemiaństwu tutejszemu, — zarówno względy praktyczne, jak i elementarne poczucie sprawiedliwości nakazują zająć względem żywego, żyjącego, rozwijającego się organizmu ukraińskiego — stanowisko wyraźne i najdokładniej określone.

Możnaby myśleć, żeśmy już po wielekroć i wszechstronnie określili się względem „narodowości rusińskiej” i rozmaitych jej odłamów. Byli wśród nas tacy, co na rzecz ukrainizmu wyrzekali się polskości i z nią otwarcie zerwali (Włodzimierz Antonowicz, Tadeusz Rylski). Byli inni, którzy szczerze kraj ten kochając i za żadne skarby świata uchodzić za „kolonistów” nie chcąc, Ukraińcami wszakże nie zostali i od polskości się nie odżegnywali. Pomiędzy zaś obu tymi odłamami istniały i istnieją tuziny barw i tonów pośrednich. Wszystko to jednak było w warunkach, które już nie istnieją i nie wrócą nigdy. Dziś przeto, w dobie nowej — nieodzownie zdobyć się musimy na formułę, któraby stosunek między dwoma bratnimi narodami w jasne ujęła wyrazy. Przeszłość stawać tu już może tylko w charakterze przestrogi, że „już nam obecnie nie służą: ni stare drogi, ni stare bogi”.

Tegoczesna nasza literatura historyczna rozszerzyła o tyle widnokrąg zagadnień o stosunku dawnej Polski do dawnej Ukrainy, że dziś należałoby już pozostawić w spokoju utarte niegdyś pewniki o Polsce od morza do morza, o powrocie szlacheckich form życia lub panowaniu na obszarach dawnej Rzeczypospolitej. W zasadzie, równouprawnienie narodowości postawione już było jako postulat w epoce zjazdów wołkowyskich z końca XIV w. i horodelskich z początków XV w. W wieku XX wracanie do tych założeń „ab ovo” i mierzenie wartości ich skalą pojęć tegoczesnych byłoby już rażącym anachronizmem.

Była zasada uczciwa i rozumna, rozumnie i uczciwie na swój wiek sformułowana, która jednak wówczas krystalizować się mogła jedynie oligarchicznie i stanowo, w klasie szlacheckiej, bo cywilizacja ówczesna nie dorosła jeszcze była do *demokratyzacji*. Ten federalizm polski z daty ugód horodelskich i aktów z roku 1569, nie mógł się wyłamać z form klasowych, szlacheckich. Ale ideja federacji zatryumfować w końcu musi nad centralizmem, choć może nie zaraz, nie dziś i nie jutro. Trzeba na to prac pokoleń, trzeba przygotowań długich, systematycznie i niezłomnie prowadzonych.

Nieunikniony ten przebieg *idei* zdąża ku prawdzie i sprawiedliwości — nie ku fałszowi i uciskowi. Prawdą i sprawiedliwością zaś jest hasło: „wolni z wolnymi, równi z równymi” (słowa aktu horodelskiego).

Między polskością tegoczesną i ukrainizmem wielkie są podobieństwa, ale i wielkie różnice.

---

miono nas, że policja kupiła ten dom i nas wyrzuca.

*Arjos (zmarszczony chmurnie — po namyśle)* Zdążymy. *(do Forala)* Czy masz odwagę dziś zginąć?

*Foral* Jeśli koniecznie potrzeba...

*Arjos* Potrzeba zabić ministra wracającego do domu za godzinę. Musi on paść stąd niedaleko, ażeby rannego lub umarłego wniesiono do tego gmachu. W jego mieszkaniu i w biurze zgromadzą się natychmiast najwyżsi urzędnicy. Wtedy zapalimy minę. Zamach powinien być wykonany z najwyższą ścisłością, inaczej cała nasza robota w podkopie będzie stracona. Ponieważ ucieczka przed pościgiem będzie bardzo trudną, więc rozważ dobrze swoje siły.

Twarz Forala zwarła się nagłym skurczem, ale powoli śród coraz rzadszych drgnień nerwowych odzyskała spokój.

*Foral* Czym mam go zabić?

*Arjos* Bombą. Nie będziesz sam: możesz chybić, wtedy musi paść drugi pocisk, a następnie może się okazać konieczność powstrzymania bombą pomocniczą pogoni za tobą i rozstrzelenia uwagi policji. Lot i Stanko są zbyt zmęczeni pracą w podkopie i bezsennością, pójdą więc z tobą Mador, Pera i Litryn. Ja będę przy minie. Na rogu tej ulicy przy placu stoi z naszym powozem przebrany za furmana Witel. Zawiezie cię do mieszkania Bonara, gdzie są przygotowane bomby i gdzie czekają Mador i Pera. W czapce urzędniczej, którą tam również dostaniesz, wyjedziesz tak, ażeby o kilka minut po godzinie 6-ej niedaleko stąd minąć się z powracającym ministrem. Resztę sam obmyślisz.

*Foral* Bądźcie zdrowi, zapewne już was nigdy nie zobaczę. Ach, gdybym przynajmniej mógł widzieć, jak ten wielki ul z całym rojem będzie wylatywał w powietrze!

Uścisnął ręce pozostałym i wybiegł.

*Arjos* Zawiadomię Litryna.

Wyszedł do węglarni. Wsunęła się Dina z paczką bielizny.

(D. C. N.)

Główne podobieństwo w tym leży, że obydwa społeczeństwa pozbawione kształtu, wyrazu i objawu życia politycznego, nie mają swoich szkół, trybunałów, ani samorządów ekonomicznych i administracyjnych. Osiągnięcie tego jest wspólnym ich celem. Jeżeli szczęście i powodzenie, według znanego aforyzmu — ludzi różnią i kłócą, to przeciwnie: ubóstwo i ograniczenie powinno ich jednać i łączyć. Choćby Polacy i Ukraińcy pogniewani byli na wszystkich innych placówkach swych programów społecznych, — podać sobie dłoń powinni na tym jednym stanowisku upokorzenia i podwładności politycznej. Muszą być nawet nieco wyrozumiali jedni względem drugich, w imię tego celu

Największą zaś znowu różnicą jest to, że Polska żyła już politycznie i żyła dość długo, gdy przeciwnie Ukraina zatraciła cały szereg początkujących zaledwie swych form politycznych (ustrój sielski wiecowy, przed przyjściem Rusów - Warjagów; ustrój drużyny, ruski, ustalenie się książąt kijowskich z domu Ruryka; ustrój lenny pod Tatarami; ustrój prawno-autonomiczny, po usunięciu tatarów przez w. ks Litewskie; ustrój polski; ustrój wielkorosyjski — z przelewami hetmańszczyzny to na Wschód to na Zachód...) W następstwie tej gienezy grozi Ukrainie zupełnie co innego, niż polskości. Nad Wisłą ludzie mogą być starci z oblicza ziemi, ale nigdy przeinaczeni nie będą; nad Dnieprem zawsze, wszędzie, i we wszystkim — „babka wróży na *dwoje*". Oto dlaczego w robotach bieżących nieskończenie więcej Polacy podejrzliwymi być mogą względem Ukraińców, niż Ukraińcy względem Polaków.

Ale bądź co bądź, musimy jakiś modus vivendi z Ukraińcami, jeśli nie na wieki ustalić i programowo ułożyć, to przynajmniej wytyczne punkty tymczasowego pożycia i wzajemnego poparcia szczerze i otwarcie omówić. Taka prowizoryczna umowa, łagodząca dotychczasowe nieporozumienia, a będąca punktem wyjścia dla dalszego unormowania stosunków polsko-ukraińskich, miałaby znaczenie nie tylko lokalne. Warunkowa ta zgoda, oparta na zrozumieniu interesów wspólnych tegoczesnych, pożądana byłaby przedewszystkim z punktu widzenia szerszego, *państwowego*.

Tylko na dobrowolnym i świadomym skojarzeniu sił i widoków wszystkich narodowości, wchodzących w skład odnowionego w d. 17 (30) października 1905 r. państwa, — oprzeć się może ich przyszłość lepsza — przyszłość jutrzejsza. Jedynie wspólne powiązanie składników pojedyńczych, odrębnych, swoistych—pozwoli każdemu z nich czuć się u siebie w domu bezpiecznie, a na zewnątrz silnie.

Powinniśmy więc jasno, przed sobą i dla siebie stwierdzić, że pierwszym warunkiem zbratania się dążeń ukraińskich z polskimi, jest uznanie z naszej strony, i przyjęcie — za uznaniem—na swe barki tych obowiązków społecznych względem Ukraińców, które z pobytu naszego na Ukrainie płyną.

Polacy na Ukrainie nie mogą i nie powinni usuwać się od pełnienia powinności, wypływających z sytuacji wspólnej. Obok zgodnego ze sprawiedliwością nawiązania z narodem ukraińskim wspólnej działalności ekonomicznej, powinnibyśmy nawet, o ile istotnie jesteśmy doświadczeńsi, inicjatywę wstępnych kroków ku wzajemnemu zbliżeniu i porozumieniu—wziąć na siebie.

To co się robi dla ludu polskiego w Polsce, — nie może być inaczej robione przez Polaków miejscowych dla ludu ukraińskiego. Jest to warunek kardynalny, w przeciwnym razie jakiekolwiek byłyby nasze intencje, będziemy nad Dnieprem uważani tylko za przybyszów, kolonistów i... wyzyskiwaczy z nad Wisły.

To jest pierwsze niezbędne minimum, reszta przyjdzie sama. Nawet obrońcy naszego „stanu posiadania" wyjdą na tym lepiej, jeśli nie będą dbałości swej o utrzymanie „status quo ante" ograniczali do sprowadzania „inguszów" na Ukrainę... Ujrzą wtedy że rozwój ukrainizmu nie tylko nie jest strasznym, lecz przeciwnie pożądany i zbawienny dla nas wszystkich. A może stopniowo, powoli, dojdzie i do tego, że będziemy brali żywy udział w podnoszeniu kultury i oświaty ludu ukraińskiego, w przekonaniu, że wyższy szczebel kultury tego ludu prowadzi zarazem do wyższego stopnia cywilizacji całego kraju i wszystkich jego mieszkańców.

Tylko ludzie krótkowidzący lub znieprawieni doradzać mogą za granicami polskości politykę „wszechpolską". Polityką polską jest tylko roztropne, kompromisowe zespolenie dążności rdzennie miejscowych z tym, co szlachetnego i wspaniałomyślnego w duszach polskich zasiała historja—od Jagiełły do Kościuszki, od Reyów i Kochanowskich do Mickiewiczów i Słowackich.

*Tad. Michalski.*

# NA DOBIE.

## Godność narodowa.

O „godności narodowej" pisze L. Straszewicz w *Kur. Polskim* z dn. 23 marca w słowach tak gorących i wymownych, że najchętniej przedrukowalibyśmy jego artykuł w całości widząc w nim wierny oddźwięk tych samych uczuć, jakimi nas postępowanie Koła polskiego przejmowało i jakie wyraziliśmy w swoim czasie w odezwie, która tak żywą wzbudziła polemikę. Oto jego najznamienniejsze ustępy:

„Stała się rzecz bolesna.

Rzucono publicznie dotkliwą obelgę na cały nasz naród. W sali, gdzie to się stało, było kilkunastu Polaków, przedstawicieli narodu i ci obelgę przyjęli z dziwnym spokojem, z jakąś rezygnacją. Nie odpowiedzieli obelgą na obelgę. Nie założyli protestu, dosyć stanowczego, aby nas uchronić na przyszłość od wypadków podobnych, aby uniemożliwić publiczne łżenie imienia polskiego.

Minister sprawiedliwości, p. Szczegłowitow, powiedział w Dumie, że Polacy *zaśmiecają* w Polsce sądownictwo rosyjskie.

To daje miarę, jak nas w Petersburgu nienawidzą. Przedstawiciel rządu obowiązany jest do spokoju, do powagi, do taktu. Rzucanie obelgi narodowi z trybuny uważane jest w świecie cywilizowanym za niedopuszczalne.

Ale lżyć siebie niewolno pozwolić nigdy i nigdzie. Nikomu!

W Dumie petersburskiej nie wyrwał się żaden okrzyk ani z jednej piersi polskiej, chociaż tam lżono naród cały.

W człowieku, mającym serce, ambicję i poczucie godności, w człowieku, nie z drewna, ale z krwi, z kości, z sercem, z duszą, okrzyk, okrzyk silny bólu, gniewu, wyrwać się powinien sam przez się, odruchowo, jako konieczność fizyczna i moralna.

Koło polskie milczało. Mogło milczeć.

Odpowiedział kiedyś tam p. Dymsza mową niedołężną, która nie stała w żadnym stosunku do ciężaru obelgi. W której nie czuć było ani obrazy, ani oburzenia.

Gdyby coś podobnego stało się we Francji, w Anglji, we Włoszech, w Niemczech, człowiek, co się poważył zelżyć naród, byłby otrzymał 10 wyzwań — 10 jest posłów polskich.

Nam tutaj krew twarz zalała, gdyśmy czytali martwe gazety, a oni — przedstawiciele, wybrańcy narodu — siedzieli spokojnie, wysiedzieli do końca, słuchając żywego słowa.

Wprost niepojęte!

Nie mogą nic zrobić, nic zdobyć dla narodu — to wiemy, tym się nie gorszymy. Nie mogą! Ale powinni przynajmniej bronić honoru naszego, choćby z narażeniem siebie samych.

Przychodzą korespondencje z Petersburga od pism różnych odcieni, niektóre pisane przez osoby blizkie Koła. Nigdzie nie znaleźliśmy ani wzmianki o tym, że w Kole zawrzało, że tam istnieje uczucie bólu, że tam radzą nad zapobieżeniem wypadkom podobnym. Że tam żałują swojej gorszącej obojętności i spokoju!

Koło polskie składa się z samych przedstawicieli stronnictwa, które lata całe deklamowało o „godności narodowej", podawało się za jedynych jej obrońców i przedstawicieli.

Piękna godność!"

Tak jest; stała się rzecz bolesna, ale jest ona tylko nieuchronną konsekwencją tego faktu, że jesteśmy w Dumie reprezentowani przez takich małych ludzi, bez krwi, bez ducha „przez ludzi z drewna". Byli nimi przy wszystkich innych okazjach, pozostali sobą! Wiedzieliśmy i mówiliśmy, że nie zdołają — a może i nie spróbują bronić ani interesów kraju, ani godności narodowej. Gdyby ich tam wcale nie było, przynajmniej nie byłoby wstydu. Sięgali po drobne realne ustępstwa, otrzymali policzek i twarz obtarli. Nie spodziewając się po nich nic innego, wołaliśmy do nich „odejdźcie"!

Pozostali — i rozwiali wszelkie złudzenia swych wczorajszych obrońców. Czyż długo jeszcze wystawiać będą na tak ciężkie próby cierpliwość tych, co się za nich rumienić muszą?

---

Poniższy artykuł otrzymaliśmy od jednego z najświatlejszych włościan p. Tomasza Nocznickiego. Drukujemy go bez zmian i poprawek. Ten prosty a wstrząsający obrazek ciemnoty i fanatyzmu niesumiennie podsycanego lub tolerowanego bezdusznie przez inteligiencję wiejską — jest sam przez się tak wymowny, że obejdzie się bez komentarzy.

# Zemsta Boga.

Dnia 23 lutego b. r. w interesie byłem we wsi Wilkowie.

Wieś to duża, ma więcej niż 100 chałup, ogromny dwór, parową gorzelnię, 2 sklepy, z tych jeden żydowski; w jednym z tych sklepów jest piwiarnia, z wypiciem na miejscu i do domów. Słyszę że i drugi sklep o to się stara, a to dla dobra pijących, bo poco ma jeden wyzyskiwać słabość ludzką, — lepiej we dwuch. Jest jeszcze w Wilkowie kościół parafjalny, jest także od paru lat szkoła początkowa.

Jakoś parę tygodni temu dowiedziałem się że w tej wsi jest człowiek chory na pomieszanie zmysłów, który jest trzymany na łańcuchu, chciałem tedy tego nieszczęśliwego obaczyć. Tak wypadło, że byłem niedaleko, bo u bezpośredniego sąsiada, więc skierowałem rozmowę o tym szaleńcu co stoi na łańcuchu.

Gospodyni opowiada mi, że to tu zaraz na przeciwko, że ten człowiek już od dawna był jakiś prędki, popędliwy, lubił się kłócić, był skłonny do gniewu, a nawet poważył się wystąpić przeciw księdzu proboszczowi i za to został przez Boga ukarany, tak że go trzymają jak bydlę na łańcuchu.

Zdumiałem na takie objaśnienie i pytam grzecznej gosposi, czy nie pamięta rodziców owego szaleńca. Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą pytam, czy to byli ludzie trzeźwi? Dowiaduję się że to byli nałogowi pijacy i nietylko rodzice, ale i dziadkowie nawet. Na to staram się wytłumaczyć, że stan nienormalny ich sąsiada, który się skończył szaleństwem, był i jest właśnie następstwem pijaństwa jego rodziców i dziadków, że jeżeli może być mowa o karze, to chyba tylko dla tych, co tych ludzi zatruwali alkoholem, ale kobieta tak głęboko uwierzyła, że to kara Boża, iż wątpię bym ją choć odrobinę przekonał. Potym znalazłem się pomiędzy prawie wszystkimi zebranymi gospodarzami, i mówiłem im, aby się jakoś zajęli polepszeniem doli swego sąsiada, ale tu znowu spotykam się z twierdzeniem że to kara Boża za ubliżenie księdzu. Zanim mówiłem z gospodarzami, wpierw udałem się obaczyć owego szaleńca.

Wchodzimy tedy na podwórze, gdzie widzim otwarte drzwi śpichlerka, a prowadzący nas sąsiad objaśnia, że to tutaj. Wchodzimy; oto cośmy zobaczyli:

Na starym barłogu, pod lichą pierzyną na którą narzucono jakąś starą kapotę, leżał — kurcząc się z zimna, przykuty za lewę rękę do ściany, gospodarz tej 30 morgowej osady, Szczepan Piekarski. Około jego głowy stał cuchnący kubeł z wypróżnieniami.

Spichrz nieoblepiony, pełen dziur w ścianach, bez pieca. Gdy uczyniłem uwagę że tu za zimno, to odpowiedziano mi że — ten „głupi" każe jeszcze drzwi otwierać, a jak nie otworzyć — to krzyczy. Starałem się wytłumaczyć, że ciemność gorzej rozdrażnia chorego, i że każe drzwi otwierać dlatego, aby nie był pozbawiony światła. Sam chory — 40 paroletni mężczyzna, z wynędzniałą twarzą, zarosły, na ciele ma strupy od brudu, odziany w zgniły łachman co kiedyś był koszulą, poznaje ludzi, mówi że już od półtora roku stoi na łańcuchu, prosi o machorkę i żeby go spuścić z łańcucha.

Pytam, czy mu dają jeść, to odpowiada że tak. Proszę by pokazał rękę z łańcuchem, co chory spełnia z uczuciem wstydu, i pokazuje lewą rękę na której jest na gołym ciele łańcuch, niczym nie podwinięty, co przy obecnych mrozach musi sprawiać choremu nieznośne męki.

Ale nikt sobie z tego nic nie robi; każdy jest przekonany, że ten człowiek, ponieważ jest skarany przez Boga, więc powinien tak cierpieć, a każdy coby mu starał się przynieść ulgę, wprost sprzeciwiłby się woli Bożej, bo ulżyłby tej męce która jest karą za *nieposzanowanie kapłana*. Taka jest pod tym względem wiara całej wsi. Więc niechże ten biedny szaleniec stoi przykuty na grubym łańcuchu za gołą rękę do ściany, niech gnije z brudu, niech go żywcem robactwo toczy, niech przez całe zimy poprzednie, i tegoroczną znajduje się w mrozy w nieopalonym śpichrzu, w którym dziurami wiatr gwiżdże, niech nie ma dostatecznego przykrycia, niech się jak zwierzę na łańcuchu szarpie, nikt mu nie przyniesie ulgi, bo przynosząc mu ulgę sprzeciwiłby się karzącej sprawiedliwości Bożej. Jak wspomniałem, w Wilkowie jest dwór, jest dziedzic, jest kościół, i jest proboszcz, nawet jest szkoła i w niej nauczyciel; nikt jakoś z tych ludzi, co w Wilkowie przedstawiają inteligiencję nie wpłynął na najbliższą rodzinę nieszczęśliwego, aby po pierwsze: zrobiono w śpichrzu okno, po drugie: aby mu dano lepsze odzienie, miększą i cieplejszą pierzynę, czystą koszulę i po trzecie: aby śpichrz ów zamieniono na izbę i postawiono w niej piec, co wszystko można uskutecznić kosztem — najwyżej 20 rb.

Dlaczego nikt się tym nie zajął? czyżby i ta, którą przytoczyłem, inteligiencja, chciała podtrzymać ciemną wiarę biedaków w okrucieństwo i mściwość Boga?

Przecież nie mogę tych ludzi o to posądzić. Dodam jeszcze, gdym zgromadzonym włościanom mówił o smutnej doli tego nieszczęśliwego, to pewien gospodarz, jeden z brackich, blizki kościoła odrzekł najpierwszy. „Co nam do tego, ma rodzinę, mógł się z księdzem nie kłócić. Słusznie go przeto Bóg skarał, niech cierpi".

Oj oświaty nam, bo pojęcia nasze są złe, bo dajemy w siebie wmówić, co komu się podoba. Wszak to co się dzieje w Wilkowie, całej wsi wstyd przynosi, a nikt nawet tego nie rozumie.

*Tomasz Nocznicki.*

## Agonje porewolucyjne.

Przed wybuchem wulkanu Mont-Pelé, nad Martyniką zawisła jakaś trwoga. Od kwietnia słońce zachodziło za mgłą kurzącego się krateru, nad rankiem mieszkańcy jakoby słyszeli głosy tajemnicze, szlochania, chichot demoniczny w wichrze upalnym, ziejącym od strony wulkanu. Konie dostawały drżenia, stada zbijały się w jedno miejsce i przestawały szukać paszy. Tysiące wężów i różnych płazów opuściły Mont-Pelé i uciekały, nie wyrządzając nikomu szkody... A ludzie? Nieśli denary pokutne do kościołów, otaczali konfesjonały i śpiewali w procesjach...

A potym przyszła straszna chwila: ognisty słup, trujące gazy — i 40 tys. ludzi zginęło! Pozostał jeden — zbój podobno, Negr, odsiadujący karę więzienną...

Czyżby to był jeden sprawiedliwy, którego wielka karząca ręka pozostawiła jako świadectwo swego miłosierdzia? Jakoś wtenczas pisma klerykalne nie komentowały tego faktu, bo miasto przecie było pobożne i bogobojnie oczekiwało wiszącej nad nim klęski. Tylko *gady* uciekły i powróciły dopiero po katastrofie w jeszcze większej ilości...

Tak jest. Po wszelkich kataklizmach wypływają na wartkie fale męty, które na dnie spoczywały.

Agonje porewolucyjne — przerażają wszystkich, którzy w ruchu rewolucyjnym widzą *gienezę* etycznych i społeczno-politycznych potworności. Ale retrospektywne na naszą epokę spojrzenie odsłania fakt niezbity, że rewolucja — jako burza, wyrzuciła tylko na powierzchnię te zboczenia i potworności, które wytworzył ciężki okres przedrewolucyjnej pozornej ciszy. Ludzie się modlili, kajali, szli za głosem ambon i konfesjonałów, — a gady... uciekały, bojąc się zdruzgotania pod ruinami zapadających teorji i... bombardowanych ulic...

Po okresie oburzania się na strajki, bomby, teror i wiece wolnomyślne — przyszła kolej i na pytanie: co wytworzyło tę straszną atmosferę zdrad, podstępów i morderstw?

Istotnie — stajemy wobec najstraszniejszej ohydy. Nie ruch partyjny lub rewolucyjny ponosi za nią odpowiedzialność, lecz wszystkie warstwy społeczne, bo detektywizm i złączony z nim bandytyzm moralny — przedostał się wszędzie. Bolesław Prus wspomina o młodzieńcu, który pod wrażeniem Sherlocka gwałtem pragnie wstąpić do ochrany. Takie przykłady nie są już niestety — rzadkie. Przed półrokiem pisaliśmy o szkole St. Kostki, w której profesorowie i uczniowie, w myśl reguły, mają się wzajemnie kontrolować. Słyszeliśmy głosy — zarzucające nam mylne informacje. Tymczasem nie braliśmy tego z informacji, lecz wprost z ustawy. *Fakty nowe* stwierdziły nasze obawy, że w takich szkołach rozwijają się popędy denuncjatorskie a przytępia wrażliwość moralna. Oto w Komorowie, (pisze o tym już kilka pism) pewna uczennica przekonała się, że ją zmuszają do szpiegowania koleżanek. Gdy zawiadomiła o tym rodziców, list został przez zakonnice przejęty. Dopiero przy zobaczeniu się z rodzicami szlachetna dziewczyna wykryła nadużycie przełożonych.

Oburzenie ogółu w tym wypadku dowodzi tylko jego nieświadomości o podstawach wychowania w szkołach wyznaniowych. To, co się dzieje w Komorowie, powtarza się we wszystkich pensjonatach klasztornych Galicji, Hiszpanji, Francji. Nasze polskie seminarja od stu lat uprawiają ten system. Inspekcja seminaryjna stale otwiera listy do alumnów. W seminarjum Kowieńskim, Wileńskim i Petersburskim t. zw. *cenzor*, starszy kleryk-djakon obowiązany jest składać raporty o kolegach, i to raporty *tajne*. Zwykle taki cenzor jest nienawidzony przez alumnów i każdy go unika.

Autorów — księży, nie podpisujących swego nazwiska — poszukują z zawziętością i groźbą zmuszają winowajcę do odwołania (ks. Bolcewicz).

Nie mamy zamiaru uogólniania gienezy detektywizmu i przypisywania go jednostronnie wpływom klerykalnym. Przyczyny stępienia i zdziczenia moralnego tkwią w wielu współczesnych warunkach. Dla przeciwdziałania tym zgubnym wpływom tym bardziej należy jednak, zarówno w publicznym jak i prywatnym wychowaniu, unikać wszystkich tych metod postępowania, które oswajają dzieci z donosicielstwem i szpiegostwem, jako z czymś godziwym a nawet nakazanym.

Metody takie wytwarzają atmosferę wstrętnego ukrywania się, forteli i *kłamstwa*, w której rozwijają się natury przewrotne i nizkie.

Nie chcę obrażać prasy naszej, ale i ona wpłynęła poniekąd na przytępienie zmysłu moralnego. W walce stronnictw nie przebierano w środkach dla obalenia przeciwników, albo przypisując im w złej wierze winy nie popełnione, lub wyzyskując przeciw nim formalności policyjne — jak ów pan S., który wyszperał mieszkanie Świętochowskiego. *Głos Warsz.* wszędzie węszył ludzi „ze Wschodu", a niedawno jeszcze rzucał podejrzenie na opozycyjną prasę jakoby przekupioną była przez wrogów narodu. Jedno pismo oskarża ośmiu zecerów za rzekomy strajk; drugie — denuncjuje Kulturę, Zjazdy prywatne, pisma ludowe — a zachowywanie *zmniejszonej ostrożności* względem przeciwników stało się w pewnym obozie utartym zwyczajem.

Z walki o ideje i ideały uczyniono zwykłą szarpaninę ludzi, dziką orgję samolubnych i nizkich ambicji, demoralizującą nasze życie publiczne.

W ostatnim tygodniu agonje porewolucyjne doszły bodaj... zenitu. Pewna wysoce ustosunkowana pani — zwolenniczka hazardu — postanowiła udać się do Monte Carlo... Ale czy szczęście posłuży?

Jest nad Wisłą ponury czerwony mur... O godzinie pierwszej, na stoku, błyszczą latarnie... Tam zajeżdża karetą pani, szukająca talizmanu szczęścia: kawałka sznura wisielca. „Czy mogę widzieć kata?" pyta stojących na warcie. Ekscentryczna pani dostała się pod... klucz — zanim zrozumiano, o co jej chodziło.

Czy można do faktu tego dopisać komentarz?! Znamy tyle rzeczy strasznych z dziejów dawnych i z chwili obecnej, a jednak na to zwyrodnienie nie znajdujemy wyrazu. Na krwawym pobojowisku kraść nieboszczykom zegarki — na placu egzekucji szukać ohydnego sznurka dla zdobycia fortuny w rulecie — na to trzeba natury sępa lub hijeny!

I oto naturę taką znajdujemy w kobiecie ze sfer możnych, wykwintnych, uprzywilejowanych, kształcących córki w tych pensjonatach arystokratycznych, gdzie pod zewnętrznymi formami pobożności urabiają serca wyziębłe, umysły próżne, dusze — nizkie.

Dosyć! Odwróćmy oczy. Dużo jeszcze brudnego mułu przypłynie ku nam z „tamtego brzegu"! Gady, które powróciły na Mont Pelé — będą nam jeszcze długo zatruwały powietrze, — sączyły jady nienawiści, bólu i rozpaczy.

Zwykła kolej dziejowa: zmaganie się światła z ciemnością. Tylko dla czego nasze światła są tak nikłe, czemu mroki tak gęste i długie? *A. Ml.*

# BADANIA NAUKOWE.

## Wolna Myśl a nauka i społeczeństwo.

(Dokończenie).

Ideja prawa jest jej obca. Pomija sprawiedliwość, nie widząc jej. Jednym skokiem wznosi się do

braterstwa powszechnego, na zasadzie: kochać bliźniego swego, jak siebie samego. Z miłości takiej wypływa miłosierdzie, lecz czym ono jest — widzieliśmy.

Doszedszy do takich wyników o wartości tej etyki, autor zapytuje: jeżeli, biorąc z niej to, co ma praktycznego, jej ideał życiowy, nie jest tą etyką boską, skończoną, nieodwołalną, poza którą niema nic do szukania i jeżeli pozostawia bez rozwiązania zagadnienia, które narzucają się nam w sposób najwięcej rozkazujący; jeżeli powoli, systematycznie wznosi się w nas inna etyka, która usuwa tamtą nawet z tych, którzy ją jeszcze wyznają, cóż mówić o *dogmatach*, które ją popierają i praktykach, którymi pewne kościoły ją komplikują i przeciążają?

I odpowiada na to pytanie: między tymi dogmatami, tymi praktykami a idejami, które coraz więcej wskutek postępu nauki i świadomości stają się jakby samym duchem naszym, odnajdujemy tę samą sprzeczność, tylko jeszcze ostrzejszą. I tak udowadnia:

Nie uznajemy już, żeby przepisy moralności musiały być przykazaniami boskiego prawodawcy i tylko z tego tytułu święte. Wiemy bowiem z doświadczenia, że Bóg wznosi się lub obniża jak sumienie ludzkie, i że nie przepisuje nigdy nic innego, tylko taki ideał, jaki ono stworzyło przez własny wysiłek ..

Można podziwiać teorję grzechu pierworodnego, chwalić jej głębokość, kłaść nacisk na zjawiska, potwierdzające ją. Lecz ta teorja naiwna, która miała jeszcze sens, gdy ziemia tronowała w środku wszechświata, a wszystko się ściągało do człowieka, nie ma go już wobec nieokreślonej mnogości światów. I co ważniejsza, jakaż to jest sprawiedliwość tego Boga doskonałego, który potępia wszystkich ludzi za ich pierwszego ojca; tego złego logika, który bierze za jedno gatunek i jednostkę; tego jeszcze gorszego sędziego, który na oślep uderza w przestępcę i niewinnego?

Tak samo rzecz się ma z odkupieniem jak z grzechem pierworodnym. Krew sprawiedliwego odkupuje grzesznika, podnosi człowieka z „winy", której skutków pozbyć się nie mógł własnymi siłami, tak jakby nie mógł wyzbyć się własnego przyrodzenia. Wiara w cnotę poświęcenia, podstawienie ofiary, zmazującej winę, zamiast prawdziwego winowajcy w celu ułagodzenia zagniewanego Bóstwa, komunja, podział Boga zabitego między wiernymi, w których ciało przechodzi duch jego, są to cechy wszystkich religji starożytnych. Chrystjanizm zebrał puściznę tych tradycji. Jest coś wzniosłego w idei tego Boga, zstępującego na ziemię, przybierającego ciało, chcącego cierpieć i umrzeć dla zbawienia ludzkiego i codziennie na ołtarzach miljonów świątyń wznawiającego swą ofiarę, powracającego do życia, żeby cierpieć, umrzeć i oddać się raz jeszcze: oto jak się przekształciły starożytne ofiary krwawe. Lecz z drugiej strony, pod tymi wyrafinowanymi formami przetrwała ideja pierwotna, równie obrażająca sumienie ludzkie...

Wielu widzi w praktykach, którymi pewne kościoły komplikują przepisy etyki chrześcijańskiej, tylko przeładowanie i fałszowanie prawdziwej doktryny. Historyk religji widziałby w tym raczej tendencję wsteczną i atawistyczną, sprowadzającą człowieka do pierwotnych form wzruszenia religijnego. Konieczność wdawania się kapłana, osoby poświęconej, wysiłki, żeby zapomocą cudu pokonać determinizm przyrodzony, obrządki, formuły, czynności zewnętrzne, które same przez się wywierają pewien rodzaj przymusu na Boga, fetyszyzm, przenoszą nas w pierwsze wieki ludzkości, przypominają w religji etycznej przeżytki dawnego instynktu, który popychał człowieka pierwotnego do praktyk rytualnych, w celu ułagodzenia, uzyskania opieki i pomocy potęg nadprzyrodzonych. Lecz ten instynkt, który niegdyś wzmacniał i egoizm i obawę przed rzeczami nieznanymi, obecnie jest odrażający dla nauki i sumienia: skoro człowiek staje się świadomy jego, traci go. Jeżeli kapłanowi nie przypisujemy władzy zmieniania zapomocą giestów i formuł biegu zjawisk przyrodzonych, tym mniej jeszcze przyznajemy mu możność rozciągania tej magji na dusze i zastępowania zapomocą egzorcyzmów uczucia wewnętrznego i wysiłku woli.

Więc dogmaty się nie odradzają i odrodzić nie mogą. I etyka to potwierdza, co poprzednio wykazała kosmologja.

* *

Gdym rozpoczynał rzecz tę o *Bibljotece filozoficzno-społecznej*, miałem zamiar podać treść kilku składających ją prac główniejszych. Nie udało mi się uskutecznić tego. Jedna bowiem zatrzymała mię przez tyle czasu i zajęła tyle miejsca, ile mogłem poświęcić kilku, chociaż każda zasługiwała na takież same traktowanie. Muszę więc od poprzedniego odstąpić zamiaru, gdyż inaczej nie kilka szpalt w numerze, lecz kilka numerów nie byłoby mi za wiele, i — zadowolić się wyliczeniem zawartości każdego tomiku.

*Pierwszy*, noszący tytuł: *Demokracja i Oświata*, zawiera prace wyłącznie G. Séailles'a. Jest ich jedenaście. Oto główniejsze: *Filizofja a oświata ludowa*, *Oświata i rewolucja*, *Indywidualizm i solidarność*, *Życie wewnętrzne a działalność społeczna*, *Piękno i pożytek*.

*Drugi* — przynosi chyba nawet i z tytułu nieznaną u nas rozprawę znakomitego myśliciela francuskiego Karola Renouvier: *O obowiązkach społecznych człowieka i obywatela*. Pracę tę śmiało nazwać można wykładem, mądrym a świetnym, Etyki Społecznej.

Nakoniec *trzeci* — *Nauka i Wolnomyślność*, oprócz poznanej już przez nas rozprawy J. Séailles'a, podaje również tego autora: *Dogmat a Nauka* i *Czym powinna być wolnomyślność*; F. Buissona: *Zasady wolnomyślności* i *Zasady Etyki niezależnej*; M. Vernesa: *Doktryna Chrześcijańska w świetle Nauki*; dwie prace M. Bertheleta: *List* do Kongresu Wolnomyślnego w Rzymie, i *Święto Rozumu*, oraz J. Clémenceau: *Wiedzieć czy wierzyć*.

Wszyscy wymienieni autorowie stanowią grupę najwybitniejszych myślicieli i działaczy społecznych Francji współczesnej.

Pierwszy tom rozpoczyna przedmowa G. Séailles'a do przekładu polskiego. Oto zamienne z niej słowa: „Ciemnota jest największym niewolnictwem; niewolnictwem, którego skutki odnajdujemy w każdym innym, niewolnictwem, z którego przedewszystkim należy się wyzwolić... Tak samo w Polsce jak we Francji jest prawdą, że człowiek ma prawo, żeby go nie wyłączano z dobrodziejstw myśli i dostojeństwa ludzkiego, i obowiązek nie zrzekania się tego prawa"... Brzmią one jak przestroga, mają zaś znaczenie nieodwołalnego wyroku.

Gdyby nasze umysły w większości prawdę tych słów pojęły, a przejąć się nią zdołały, znalazłyby przewodników niezawodnych w wymienionych autorach. A po latach wielu, możeby i nastąpiła taka chwila, że powtórzenie tego, czym obecnie rzecz swoją rozpocząłem, byłoby już niesłusznym oskarżaniem siebie.

*J. Radliński.*

*E. St. Rappaport i L. Gorecki:* **„Warstwy średnie w świetle polityki radykalnej"**. Warszawa 1909 roku.

Wśród kierunków społeczno - politycznych, które w ostatnich czasach wstąpiły w szranki bojowe, dość gwarnie wkroczył t. zw. radykalizm. Dużo o nim mówiono i dość liczni publicyści go propagowali. Pan E. St. Rappaport, który już poprzednio ogłosił

broszurę p. t. „Radykalizm u nas i u obcych", obecnie wespół z p. L. Goreckim wydał książkę pod tytułem „Warstwy średnie w świetle polityki radykalnej", której cel główny stanowi jej rozdział III, traktujący o zadaniach radykalizmu polskiego. Rozdział ten poprzedzają inne, w których wyjaśniono stanowisko warstw średnich oraz program i zasady polityki radykalnej we Francji.

Książka pp. R. i G. wprawia mnie w niemały kłopot. Zgadzam się bowiem, z pewnymi zastrzeżeniami, na ich zasadnicze postulaty, a jednocześnie nie mogę się zgodzić ani na ich mniemanie o praktycznej wartości owego propagowanego przez nich radykalizmu, ani na podstawy, na których opierają swe wnioski. Panowie R. i G. radykalizm francuski przenoszą żywcem na nasz grunt, i teorję jego, i praktykę.

Przedewszystkim więc, tak jak radykaliści francuscy, opierają się na teorji socjologicznej t. zw. solidaryzmu. Ma on bardzo wybitnych przedstawicieli w nauce francuskiej (Bourgeois, Gide, Bouglé, Durkheim, Buisson, Tanon i inni) i niezaprzeczenie znaczenie jego jest większe i bardziej owocne, niż sądzą jego krytycy we Francji, a szczególniej u nas. Rzecz ta wszakże wymaga obszernego omówienia, i dlatego znaczeniu solidaryzmu wśród systematów społeczno-politycznych poświęcę oddzielny artykuł.

Tutaj zaznaczę tylko, że solidaryzm o ile jest niedoceniony przez swych przeciwników, o tyle przecenia sam siebie; że nie jest on syntezą sprzecznych kierunków, ale tak samo systematem jednostronnym, jak wszystkie inne, że wreszcie zagarnia on dla siebie, razem ze swym wykładnikiem politycznym—radykalizmem, rozmaite zasługi, które mu się wcale nie należą i które podzielić musi z innymi lub nawet w całości im odstąpić.

Solidaryzm i radykalizm francuski, mieszcząc się pod względem intensywności swego ducha reformatorskiego w środku, pomiędzy liberalizmem i socjalizmem, wyobraził sobie, że jest syntezą; a dla symetrji *warstwom średnim* każe odegrać „rolę normującego czynnika w olbrzymim splocie częściowych rozbieżności i częściowych współzależności między wielkimi grupami społecznymi".

To przecenianie roli warstw średnich jest takim samym złudzeniem optycznym, jak i pojęcie o syntetyczności radykalizmu.

Słuszna natomiast, do pewnego stopnia, jest myśl, że polityka radykalna wśród warstw średnich ma największe szanse powodzenia, że nie porwie ona, co przyznają sami autorowie, ani warstw robotniczych, ani wielkiej własności lub finansów.

Taka jest, w istocie rzeczy, myśl przewodnia autorów: polityka radykalna, według nich, powinna być polityką warstw średnich, nie roszcząc sobie pretensji do zwycięstw ani na lewicy, ani na prawicy. Fakt ten stwierdza historja polityki radykalnej we Francji, która powodzenia swoje zdobywała przeważnie nie samodzielnie, lecz w bloku z socjalistami.

I jeżeli chodzi o Francję, gdzie polityka radykalna wytknęła sobie pewien ściśle określony program, teza autorów ma za sobą wiele słuszności. Jak stwierdza Bourgeois, ten ewangielista solidarystów, teorje jego są tylko ujęciem w pewien systemat tego, co zrobiło samo życie. Potężne warstwy średnie, które już w 18 wieku miały dość siły, aby zwyciężyć przywileje szlachty i monarchji, i stworzyć podwaliny wolności politycznej, rozwinięty przemysł i daleko posunięta kulturalnie klasa robocza, — wszystko to stanowiło urodzajną glebę dla polityki radykalnej w tej postaci, w jakiej ujawniła się ona we Francji.

Zapewne, istnieje ona w ułamkach we wszystkich krajach, prowadzą ją nawet, w mniejszym lub szerszym zakresie, wszystkie rządy. Konieczność życiowa nasuwa reformy, które polityka radykalna chce uważać za swoją własność. We Francji wszakże nadano jej formy skończonego systematu mającego swoją ideologją i taktykę. Ale właśnie dlatego przeniesienie radykalizmu francuskiego, *en bloc*, do naszych stosunków, wydaje mi się dość trudnym.

Czytelnik, bezwątpienia, po przeczytaniu rozdziału III książki pp. R. i G. będzie miał tyle wątpliwości, tyle pytań nierozstrzygniętych, że nie będzie mógł zupełnie skorzystać ze wskazówek autorów w celu pozyskania dyrektywy politycznej, co wszak było ich celem.

W rozdziale „o zadaniach radykalizmu polskiego" jest dużo uwag trafnych, dużo takich, na którebym się nie zgodził; ale wszystko to nie ma wielkiego znaczenia z tego względu, że nie daje odpowiedzi na pytanie: co robić, jak zastosować w życiu ten program, z którym autorowie zapoznali czytelnika w rozdziałach poprzednich.

Stosunki nasze są tak różne od francuskich, że nawet tak powszechna w Europie działalność w kierunku prawodawstwa socjalnego, wymaga zupełnie specjalnych programów. Doszła mnie wiadomość, że podobno obecna książka jest pierwszą częścią pracy pp. R. i G. i, że po niej nastąpić mają inne, które wypełnią brak powyżej wskazany. O ile informacja moja się sprawdzi, będzie czas do mówienia o zadaniach radykalizmu polskiego, jako o programie jakiegoś stronnictwa.

W obecnie wydanej pracy autorowie dali nam tylko kilka ogólnych zasad, z których żadnego praktycznego użytku zrobić niepodobna. I swej zasadniczej myśli, to jest stosunku programu radykalnego do warstw średnich, autorowie dostatecznie nie umotywowali. Warstwy średnie u nas, pomijając brak ścisłego określenia tego pojęcia, są zaledwie w formie tworzenia się, są niejednolite pod względem — wyznaniowym a nawet narodowościowym, i, bez względu na wyznanie, w niższych swoich pokładach klerykalne lub bardzo religijne.

Na oznaczenie sfery działania pewnego programu u nas składa się tyle czynników, że sprawy tej tak sumarycznie, jak autorowie to zrobili, według obcego wzoru, rozstrzygnąć niepodobna.

Pomimo to, że praca pp. R. i G. ani żadnych wskazówek praktycznych, ani jasnego pojęcia o zadaniach radykalizmu polskiego nie daje, nie jest ona bez pożytku, choćby z tego względu, że poznać z niej można w ogólnych zarysach program i działalność radykalizmu francuskiego, co czytelnikom naszym niejedno zagadnienie wyjaśnić może.

*Józef Lange.*

# LITERATURA i SZTUKA.

## Apostoł nihilizmu. (Lew Szestow)

(Dokończenie).

Kto jednak tak jak Szestow trwa w ciągłym zawieszeniu, otoczony ze wszystkich stron pustką, ten nie doświadcza niczego prócz specyficznego nieukojenia z powodu braku wrażeń, i w rezultacie musi stracić przytomność, zasnąć, skamienieć. Bo gdy niema nic, niema zatym i świadomości, czyli że niema tragiedji. Zato uśmiech pogodny nie schodzi z jego twarzy, nawet skamieniałej na widok przepaści i rozbijania się w niej, lub ginięcia w czarnej otchłani bliźnich.

„Nie możemy nic wiedzieć o ostatecznych kwestjach, dotyczących naszego istnienia, i nic o nich wiedzieć nie będziemy: to jest zdecydowanym raz na zawsze. Ale z tego bynajmniej nie wynika, aby każdy człowiek musiał przyjmować jako *modus vivendi* którąkolwiek z istniejących nauk dogmatycznych lub na-

wet tak sceptycznie zabarwiony pozytywizm. Stąd wynika tylko, że człowiek ma prawo równie często zmieniać „światopogląd" swój, jak trzewiki lub rękawiczki, i że trwałość przekonań należy przestrzegać jedynie w stosunku do innych ludzi, którzy przecie powinni wiedzieć, w jakich wypadkach i w jakiej mierze mogą na nas liczyć. I dlatego, „jako zasada": uszanowanie porządku nazewnętrz, i całkowity chaos wewnętrzny. No, a dla tych, którzy nie mogą znosić takiej dwoistości, można zaprowadzać ład i nawewnątrz. Tylko nie chełpić się z tego, jeno zawsze pamiętać, że w tym się objawia ludzka słabość, ograniczoność, ciężkość". (Apoteoza, str. 29.9)

Subtelna ironja towarzyszy wszystkim myślom Szestowa, ale tak uniwersalny pesymizm, nie wykluczający ani jednej strony życia, nie pomijający żadnego faktu, z natury rzeczy przestaje być samym tylko konstatowaniem faktu i staje się jakby rodzajem wiary dogmatycznej. W każdym razie ostateczna prawda, lub zasada normująca stosunek Szestowa do świata zewnętrznego, sprowadzająca się do szukania sposobu wydobycia się z pod władzy wszelkiej prawdy — jest tak starą i przemyślaną, jak dzieje filozofji, od Sokratesa począwszy.

Filozof rosyjski jednak nadaje swemu bezwzględnemu i wszechogarniającemu sceptycyzmowi odcień pewnej praktyki, wiele poucza i przenicowuje dla samej przyjemności oglądania utrwalonych wartości w innym oświetleniu lub kształcie. Cechuje go przytym skrajność — spokojna, ale nieubłagana, i nie cofająca się przed ostatecznymi wnioskami; odrzuca logikę — bo łatwo przypuścić w każdej przesłance logicznej deus ex machina, przytym logika zabija fantazję; odrzuca metafizykę, bo bez djalektyki nie może ona nikomu nic dowieść; odrzuca etykę w imię prawa na bezprawie i t. p., ale nie tyle ważną ani zajmującą jest ta negacja, ile ton ogólny przemyśleń i istotnie wspaniałe podawanie ich czytelnikowi. Zwłaszcza wyborne są aforyzmy krótsze z „Apoteozy", których tu cytować oczywiście nie mogą.

Szestow pomimo samotnictwa ustrzegł się gabinetowego ględzenia o świecie widzianym z za potrójnej szyby i kominów fabrycznych. Z niektórych ustępów łatwo poznać, iż zna on bliżej własne społeczeństwo, a przedewszystkim korzenie, z których ono wyrosło. I na ten temat również dobrotliwie ironizuje, a może wypowiada jedno z „przemijających przekonań":

„Poskrobcie rosjanina i znajdziecie tatara. Kulturalność jest darem dziedzicznym i odrazu zaszczepić ją sobie prawie nigdy się nie udaje. Do nas, do Rosji, cywilizacja nadeszła nagle, gdyśmy jeszcze byli dzikimi i odrazu zajęła pozę pogromczyni, działając za pomocą przynęt, a potym, poczuwszy swą władzę, i pogróżek. Myśmy ulegli i w krótkim przeciągu czasu pochłonęliśmy to, co europejczycy spożywali w ciągu wieków i postępowo przyzwyczajając się do wszelkich trucizn, nawet najmocniejszych. Dzięki temu przeszczepienie kultury stało się w Rosji sprawą wcale nie błahą. Zaledwie rosjanin choć trochę pooddychał powietrzem Europy, dostawał zawrotów głowy. Tłumaczył po swojemu tak, jak się tego po dzikim można było spodziewać, wszystko, cokolwiek widział lub słyszał o zdobyczach kultury zachodniej. Mówiono mu o kolejach żelaznych, o maszynach rolniczych, szkołach, samorządzie, a w jego fantazji wyrastały cuda: szczęście powszechne, wolność nieogarniona, raj, skrzydła i t. d."...

Nie zamierzałem w szkicu niniejszym dać nic więcej ponad profil filozofa-nihilisty, oraz zarysować sylwetkę człowieka, paraliżującego w znacznym stopniu pobożne usiłowania Mereżkowskiego, Fiłosowa i innych, uznających potrzebę dogmatu cerkwi, nawołujących ku sobie trochę zdezorjentowaną ostatnimi laty inteligiencję. Lew Szestow wiele krwi napsuł założycielom i kierownikom towarzystwa relegijno filozoficznego, i nieraz w pismach można wyczytać gorzkie żale na człowieka, który sam udziału w życiu kulturalnym nie bierze i innym przeszkadza.

Nie wyrzekająca się wiary, ale krytycznie myśląca część inteligiencji rosyjskiej, w sposób bardzo trafny rozumuje: „alboż negacja ślepej wiary w dogmaty jest tożsamą z niewiarą w znaczeniu braku przekonań? czyż można pozwalać nazywać „sceptykiem" tego, kto się nie zrzeka prawa indywidualnego rozumu do sprawdzania i wartościowania wiary?" (S. Frank).

I dalej: „czyż doprawdy ci, co nie mogą uwierzyć ani w socjalizm, ani w apokalipsę, i nawet wogóle w żadną zbudowaną na wieki wieków, nieomylną, jedyną zbawienną i cudotwórczą wiarę — proklamują tę samą niewiarę, bronią tej samej bezgruntowości, co Leon Szestow, wyznający tylko absolutny nihilizm? — Pomiędzy wiarą w apokalipsę a nihilizmem, pomiędzy zabobonem a niewiarą tkwi jeszcze coś trzeciego: a to trzecie, to nie mniej nie więcej, tylko cała twórczość wolnego ludzkiego ducha, wiara we wszystkie wielkie wartości, nie mieszczące się w ramach jakiegokolwiek kościoła lub systemu dogmatów".

I próżno pasterze nawołują stado, które wolało rozsypać się po pastwisku, aniżeli być pasionym na wydeptanym i jałowym ściernisku. Bo doprawdy: czyż tak koniecznie wypada „zajmować się" kwestjami, które od lat szeregu nie wychodzą poza *circulus vitiosus* w gronie danych osób, kiedy się wie, iż tam, gdzieś, po różnych kątach Rosji, siedzą różni, może całkiem nieznani myśliciele, i dobrodusznie gładzą brodę, z za której nie widać uśmiechu wiecznego zwątpienia, kiedy słyszą lub czytają sprawozdania z posiedzeń „odnowicieli religji", tej „śmietanki" inteligiencji rosyjskiej?...

Petersburg. *D-r Tadeusz Nalepiński.*

*Gabryjel Dauchot:* **„Immortelle Pologne!"**. Nakładem firmy wydawniczej Perrin et C-o w Paryżu.

Życie niejedną nicią sympatyczną związało Polskę z Francją, wskutek czego Francuzi lepiej niż inni i dolę naszą i ducha polskiego odczuć potrafią.

Jedno z pierwszych miejsc pod względem zrozumienia polskiej psyche zajmuje niewątpliwie młody, do niedawna zdolny dziennikarz — współpracownik *Petit Journal'u*, a obecnie i niemniej utalentowany autor książki pod powyższym tytułem.

Mówię „książka", bo trudno to dzieło określić bliżej, a ściśle zarazem; jest to romans osobisty, studjum psychologiczne narodu polskiego i zarazem rys literatury polskiej, zresztą treść najlepiej to uwypukli:

Bohater opowiadania, młody Francuz poznaje młodą Polkę, wyrzuconą zrządzeniem losu na bruk paryski i kupczącą swym ciałem Miękkość i delikatność obejścia się z kobietą, nawet tak nizko na pozór stojącą moralnie, sprawia, że ta odkrywa swój skarb jedyny, a dla brutalnego oka niedostępny, serce bijące gorącą miłością i tęsknotą do dalekiej, utraconej ojczyzny. To kontrastowe zestawienie wyżyn i nizin miłości wywołuje w bohaterze uczucie szacunku dla tej upadłej istoty, uwielbienia dla tej Polki i wzbudza nieprzepartą chęć poznania kraju, który swe dzieci, nawet odtrącane, tak pięknymi zaletami ducha obdarza. Bohater już intuicyjnie odczuwa miłość dla Polski, następna podróż jego do Krakowa, Lwowa i okolic, tę miłość pogłębia: ma tu jednak wielką zasługę druga Polka, z innej klasy społecznej, lecz niemniej płomiennego serca. Ta prowadzi tęsknego wędrowca niemal za rękę, wskazuje mu pamiątki wielkiej przeszłości, zapoznaje go z tradycjami i arcydziełami ducha polskiego, zmusza do uwielbienia gienjuszów narodowych.

Bohater ukochawszy Polskę, ukochał również całą siłą młodzieńczego serca swego mistrza — Anielę; rozstają się jednak, — on musi powracać do swoich, a ona ma obowiązki do spełnienia względem kraju.

Tymczasem i bohaterka paryska — Klaudyna umiera z tęsknoty.

Bohater z ciężkim sercem wraca do Francji, lecz już nie nęcą go uciechy stolicy, osiada na szmacie ziemi odziedziczonej po wuju i postanawia pracować dla swoich, aby tym smutki ukoić.

W całym utworze traktowanym niemal z kobiecą miękkością i delikatnością znać wrażliwą i subtelną duszę autora, pełnego altruizmu i egzaltacji.

O tej subtelności świadczy chwalebnie umiejętny dobór cytat z Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i innych, których duszę zrozumiał.

Tak, trzeba być romantykiem, aby odczuć tragiczny romantyzm w konwulsjach kładącej się do letargu Polski.

Książkę zaopatrzył wstępem p. Teodor de Wyzewa (właściwie Wyżewski), dając w nim apologję Polki za jej miłość i poświęcenie.

Książka ma dla Francuzów duże dydaktyczne znaczenie, — lecz jak daleko jesteście wy szlachetni idealiści, głoszący szczytne hasła braterstwa ludów, od brutalnej rzeczywistości!

*now.*

# Bigosik... krajoznawczy.

Dwie broszurki, z serji bardzo sympatycznie zatytułowanych wydawnictw popularnych „Bibljoteczka krajoznawcza": 1.) Leonarda de Verdmon Jacques'a „Łęczyca i Tum", 2.) J. Kobierzyckiego: „Nieznane zakątki powiatu Sieradzkiego". Odrazu zadziwia, że wydawca polskich broszurek krajoznawczych nie uznaje potrzeby odmieniania swego nazwiska, czytamy bowiem: „Wydawnictwo Stanisława Graeve", gdy napewno sam szanowny wydawca mówi zawsze, że zna i ceni „utwory Goethego" (nie Goethe)...

We wstępnym słowie wydawcy czytamy, że powiał on myśl ułożenia *usystematyzowanego* wydawnictwa popularnego w postaci *luźnych* odczytów, (z dziedziny krajoznawstwa) którą właśnie urzeczywistnia.

Tu zauważyć się godzi, że myśl taką powzięło i urzeczywistniło o rok wcześniej Polskie Towarzystwo Krajoznawcze; o 6-ciu dziesięciogroszowych odczytach krajoznawczych pisała w r. z *Prawda*, stwierdzając ich zalety i wartość, z wyjątkiem mniej udatnego odczytu 6-go.

Rozpatrzywszy się w zewnętrznej formie wydawnictwa p. Graevego, widzimy, że wzorowane jest ono na broszurach odczytowych T-wa krajoznawczego. Te same uwagi w nawiasach: „Zgasić światło na sali", te same ramki, a w nich napisy na oznaczenie, w których miejscach odczytu przypadają obrazy niknące, tytuł nawet 2-ej broszurki zapożyczony: „Nieznane zakątki" (tam: „kraju", tu: „pow. sieradzkiego"). Są jednak uzupełnienia oryginalne, cenne i pomysłowe, jak mapki okolic opisywanych, jak liczne obrazki w tekście, które czynią broszurkę pożądaną nietylko jako konspekt odczytowy.

Autorowie obu broszurek nie wzorowali się jednak bynajmniej na „odczytach krajoznawczych" w ważnym względzie: autorowie broszur, wydanych nakładem T-wa Krajoznawczego, p. p. Janowski, Hoffman, Malinowski, przerobili odczyty, wygłaszane przez siebie, w ten sposób, że może je odczytywać z broszurki każdy: mężczyzna, czy kobieta, mieszczanin, czy włościanin, bo w druku zatarto wszelką osobistość autorów, żadne zdanie nie zaczyna się od „ja".

Nie tak w wydawnictwie p. Graevego. P. Kobierzycki np. zaczyna odczyt od zwierzeń: „Nie raźno przyszło memu towarzyszowi podróży, zacnemu (!) p. Cholewińskiemu, zerwać się o 4-tej zrana w hotelu polskim w Sieradzu" i t. d.

Weźmy nauczyciela ludowego, który ma odczytać tę broszurkę swej gromadce: „Ależ ja nie znam żadnego p. Cholewińskiego, nigdy z nim nie podróżowałem. Jak tu zacząć, jak to zmienić?.. Ale czy wypada mi zmieniać zdania autora?...

Ktoś inny, „simplex servus Dei", czyta, jak stoi napisane, a z grona słuchaczy zapytują odczytującego: „Co to za p. Cholewiński, kiedy pan z nim jeździł z Sieradza?... Co to za tumanienie!"...

Powie ktoś, że to tylko materjał do odczytu, który każdy może sobie odpowiednio urabiać, skracać, rozszerzać i t. d.

Ależ takim materjałem jest każda monografja krajoznawcza, nie potrzeba wydawnictwa specjalnego.

Skoro się zaś daje ogółowi broszurę „odczytową", należy pamiętać, że w tej formie w całości będzie wygłaszana przeważnie, w 9 na 10 przypadków..

I tu właśnie p. de Verdmon Jacques, zasłużony skądinąd dziennikarz i publicysta, popełnił olbrzymie błędy, które mu przebaczyć można tylko dlatego, że nie jest prelegientem zawodowym, że nie wczuł się w ducha popularnych wydawnictw odczytowych, że nie rozróżnia tego, co można pomieścić w monografji historycznej do czytania w ciszy pokoju swego, a czego *nie wolno* umieszczać w broszurze, przeznaczonej na odczyt — i to w sferach szerokich.

Więc, na str. 7-ej broszury, w opisie historycznym Łęczycy, czytamy:

„W r. 1794 nawiedza miasto pożar, i w perzynę większość budowli obraca. Przerażeni mieszkańcy na klęczkach błagali Stwórcę o odwrócenie okropnej klęski, a cadyk łęczycki, słynny podówczas ze swej świątobliwości i nauki, obniósłszy rodał wokół zgliszcz miasta, po dłuższej modlitwie wraz z tłumem mieszkańców, uroczyście zapewnił, że Bóg już więcej tak dotkliwej kary na miasto nie ześle. I dotąd wiara w tą (tę) przepowiednię proroczą utrzymuje się wśród starszych mieszkańców Łęczycy, *a podtrzymuje ją skutecznie fakt, że od tego czasu istotnie w ciągu stu lat z górą, poważniejszego pożaru miasto szczęśliwie uniknęło.*

Skromne mauzoleum na cmentarzu żydowskim północno-zachodniej stronie miasta, kryjące prochy pobożnego cadyka, dotąd jest z religijną czcią przez żydów odwiedzane".

Czy bezkrytyczny słuchacz tych słów nie osiągnie wrażenia, że „obniesienie rodału wokół zgliszcz" jest skuteczniejszym środkiem gaszenia ognia, niż beczki z wodą i sikawki?...

Czy pewna warstwa słuchaczów (co gorsza) nie przerwałaby prelegientowi okrzykiem: „Co on tu nam wychwala cadyków?"...

I autor nie usiłuje ani słówkiem objaśnić, czemu Łęczyca istotnie może zawdzięczać, że nie bywa tam „poważniejszych pożarów"...

Aleje w środku miasta, szeroko rozrzucony rynek, sporo domów murowanych — oto warunki, utrudniające pożogę.

Powyższe niedopatrzenie się autora jest jeszcze drobnostką w porównaniu z tym, co czytamy na str. 15 i 18.

Zgódźmy się w zasadzie na to, że nie można utaić w opisie Łęczycy tego, iż w kościele pobernardyńskim, w specjalnej niszy, wystawiono na widok publiczny zwłoki dziecka, zamordowanego (jak głosi wyciąg z akt sądowych) we wsi Witaszewice przez żydów, w XVII w., „w celach rytualnych".

Ale też już na tej wzmiance, ilustrowanej zwłaszcza przezroczem, „zwłoki dziecka" (!), należało poprzestać...

Ale autor przytacza historję mordu, aby „dać świadectwo historyczne, jak wielką była ciemnota”.

Cierpliwy słuchacz odczytu musiałby więc wysłuchać takiej relacji:

„Dziecko mieszkańców dworu dóbr Witaszewice podczas nieobecności w domu rodziców, w r. 1639, wykradli żydzi, a ułożywszy na półmisku na stole, zakłuli je widelcami. Po zebraniu krwi, ciało zakopali w pobliskim lesie, w miejscu, na którym stoi krzyż obecnie, w pobliżu szosy, wiodącej do osady Piątek. Gdy rodzice zamordowanego dziecka przybyli do domu, kot, obecny przy zamordowaniu, miauczeniem i bieganiem w stronę lasu nawoływal szukających dziecka do pójścia za nim, a gdy zrozpaczeni rodzice podążyli śladem kota, ten przybiegł do miejsca gdzie były zakopane zwłoki i drapiąc ziemię, wskazywał, że tu kopać należy. Tym sposobem wykryto morderstwo, a po przeprowadzeniu śledztwa, zbrodniarzy ukarano szubienicą.

W końcu XVIII wieku ojcowie bernardyni, w których kościele były przechowywane zwłoki dziecka, polecili miejscowemu malarzowi odtworzenie całej sceny morderstwa, a ten, przestudjowawszy akta sądowe, sportretował na wykonanym obrazie, wszystkich potomków w prostej linji od winowajców pochodzących. Obraz ten zawieszony został w szczycie frontonu kościoła na zewnątrz, lecz oburzeni żydzi jajami obraz ten zanieczyścili. Po długich pertraktacjach o. o. bernardyni zobowiązali się obraz z zewnątrz kościoła usunąć za *ofiarę pieniężną przez żydów złożoną na odnowienie tegoż kościoła*”.

Wyobraźmy sobie, że w jakiejś mieścinie, na odczycie popularnym, z kilkokopiejkowym wejściem, ktoś, bezkrytycznie ceniący słowo drukowane, odczyta głośno te brednie wobec publiczności „mieszanej”— chrześcijańsko-żydowskiej.,.

Jakie sceny działyby się po tej enuncjacji na sali odczytowej — nie chcę myśleć, doprawdy...

Nie! w tym skrzętnie spreparowanym bigosiku wiadomości i anegdotek historyczno-krajoznawczych znalazły się takie ogryzki i kości, którymi zadławić się można!...

Zeszyt 1-szy „Biblioteczki krajoznawczej” może pójść na rynek księgarski pod warunkiem zamazania, wycięcia lub przedrukowania inkryminowanych ustępów.

Druga książeczka nie posiada tak krzyczących wad; jest to gawęda (niekiedy „przy herbacie”) o nieznanych w istocie zakątkach ziemi naszej, z wielu ciekawymi, acz przeważnie drobnej wagi, szczegółami, niefrasobliwie, nadmiernie nawet negliżowo i bezceremonjalnie prowadzona. Ma sporo niezręczności stylowych, błędów gramatycznych, jak: „podsędka— w stylu renesansu”, „zaś” na początku zdania, „w miejsce” (zam. „na miejsce”), „gałęż” (zm. „gałęź”), „reperację”, p. K., „który zajął wybitne stanowisko... w kanalizacji”, „brązowa”, „wykluczona” (zm. wyłączona) i t. d. i t. d. z wieńczącym wszystko zakończeniem, w którym konie „wytchły”... (tak!) Ideja przewodnia odczytu: nieszkodliwa wcale apologja rodu szlacheckiego p. p. K.

P. de Verdmon Jacques pisze poprawniej, ale i on ma swoje: „wsiów”, „martwe zwłoki” (autor zna widocznie i *żywe* zwłoki), „panien Laurysiewicz”, „odnaleść”, „*przes*zepczą”. Część tych błędów można usprawiedliwić wadliwą korektą.

Na okładce broszurek wydawca reklamuje „Polskie Towarzystwo Krajoznawcze”, widać, że sympatyzuje z nim szczerze, może nawet współpracuje?

Pochwały tylko godzien, kto odsetek fortuny swojej używa na wydawnictwa popularne; o ile jednak, wskutek oddalenia od stolicy, w której drukowano broszury, wydawca nie może dopilnować sam, aby to wydawnictwo było *dobre*, winien powierzyć je w ręce odpowiedzialne.

A tu wykazana sympatja dla krajoznawstwa i Towarzystwa, uprawiającego je, wskazuje wprost drogę: niech p. Graeve uda się do Warszawskiego Towarzystwa Krajoznawczego z prośbą o przejrzenie i poprawienie rękopisów dalszych broszur, a następnie — o dopilnowanie korekty.

T-wo chyba nie odmówi swej pomocy, a wtedy, zamiast bigosiku z kośćmi dławiącymi, otrzymamy pożywny i smaczny chleb duchowy na użytek powszedni...

*N. L.*

TEATR MAŁY: **„Tamten”**. Sztuka w 3-ch aktach *Pawła i Wiktora Margueritte.*

Staję często wobec dylematu: sztuka teatralna zwyrodnieć musi w farsę, wyrzec się wszelkiej głębi, oprzeć na pomysłowości, a sztukować zręcznością, lub też w ten sposób zreformować technikę sceniczną i przystosować ją do nowych warunków, by wewnętrzne, psychiczne konflikty, którymi operować ona teraz musi, nie zabijały w niej sceniczności, nie prowadziły jej do rezonerstwa, do bezruchu, do zaniku wszelkiej akcji, które ostatecznie nudzić i nużyć muszą wyszkolonego nawet widza. Głęboko zawiązany konflikt psychiczny uratować może sztukę w oczach inteligentniejszej części publiczności, ale nie uchroni jej przed zarzutami, przed tym jednym szczególniej zarzutem, który wyraża się w twierdzeniu, że dany temat nie nadaje się do scenicznego opracowania i daleko lepiej dałby się rozwinąć w powieści. I w ten sposób powstaje klasyfikacja tematów; ale teatr nie może i nie powinien się wyrzekać ani jednej piędzi ludzkiej duszy, ani jednego motka nerwów, ani jednego ich drgnienia. Wszystko powinno być terenem jego badań i jego działań: całość duszy i całość życia. Tylko że w praktyce nawet tacy mistrze techniki jak Ibsen nie zawsze umieją godzić te dwa zasadnicze postulaty twórczości dramatycznej: bogatą treść z wymaganiami sceniczności.

Nie mówię tu o elaboratach Sardou ani o tym specjalnym rodzaju twórczości dramatycznej, który Niemcy ochrzcili mianem „Buchdrama” — pierwsze są tylko teatrem, te drugie nie są nim jeszcze, lub być nim już nie chcą, ale nawet w tych utworach, które umiały się ustrzec przed tymi ostatecznościami, rozdźwięk między treścią i formą staje się coraz wyraźniejszym, a koncesje czynione w jedną lub drugą stronę psują linję dramatu, albo niweczą w nim pierwotny poważny jego charakter.

„Tamten„ braci Margueritte mógłby służyć za typowy pod tym względem przykład. Mamy tu nadzwyczajnie pięknie zawiązany konflikt, ogromnie ciekawe załamanie się uczucia: widzimy przed sobą dwoje ludzi, z których stosunku do siebie płynie tragizm wysokiego gatunku. Klara Frénot zdradziła swego męża, ale spostrzega się, że był to krok, który w jej duszy nie znajduje należytego umotywowania, bo Klara nie kocha swego kochanka, bo zdradziła swego męża jedynie przez jakieś nieporozumienie czy niezrozumienie własnego ja w pewnej chwili. Więc teraz męczy się. Fałszywy krok przetwarza się u niej w pojęcie grzechu, staje się w jej oczach winą, którą zetrzeć może tylko kara lub przebaczenie. Wyznaje więc wszystko mężowi. Jakób kocha ją gorąco; nie może jej odepchnąć i chce jej przebaczyć, ale nie może jej zapomnieć. Między dwojgiem tych ludzi stoi tamten.

Zmysłowość rzuca ich raz wraz w swe objęcia, ale rozkosze nie są już dla nich ani upojeniem ani ukojeniem, tylko jakimś znęcaniem się potwornym nad wielkim bólem, który szarpie ich serca, nawiązywaniem nici, która rwie się ciągle i spoić się już nie da.

Dramat tych dwojga ludzi to cały dramat sztuki Margueritte'ów. Niema tu nic więcej i nikogo więcej, bo nie widzi się nawet reszty osób, które zjawiają się na scenie. Jest tu jakiś uparty kochanek, który prześladuje Klarę, jest para zakochanych narzeczonych, kochająca, młoda (za młoda) matka Jakóba, cała Beocja, która gra swe role, ale nie odgrywa żadnej roli w sztuce. Autorom zabrakło wprost miejsca i czasu na rozwinięcie tych drugorzędnych postaci, „puścili je w ton", jakby powiedział malarz, by sworzyć tło— obojętne i nic nie mówiące.

Ale bo też dramat Klary i Jakóba sam przez się przekraczał już granicę dramatu, nadaje się raczej do powieści, jak mówię, wymaga długiej i ciągłej ekspozycji, nie mogło się tu więc „dziać" na scenie, bo pokazanie tego co się dzieje w dwuch duszach ludzkich zbyt wiele przedstawiało trudności i zbyt wiele zajmować musiało miejsca.

A jednak ustalić trzeba fakt, że choć zdajemy sobie sprawę z zasadniczych błędów, tkwiących w sztuce, choć czujemy wszystkie jej braki, wrażenie, jakie tu odbieramy jest o wiele dokładniejsze i głębsze, niżby nam dać mogła najzręczniej skomponowana sztuka, ale pozbawiona tych idejowych pierwiastków, które językiem duszy przemawiają do duszy. Bo w tym kierunku musi pójść rozwój dramatu, bo na miejsce dzisiejszej „sztuki", musi znów powstać dramat, bo momentem tragicznym nie jest chwila, gdy akrobata przerzuca się z jednego trapezu na drugi, a w piersiach widzów zamiera oddech, bo na scenie chcemy widzieć ludzi i ich dusze i życie, ale nie to, którego jedynym przejawem jest tylko ruch, lecz to głębsze i pełniejsze, w którym „pod męką ciał leżący duch" swe nieskończone przeżywa dramaty.

O grze artystów musiałbym mówić bardzo szeroko albo nic. Cała Beocja w sztuce Margueritte'ów nie zasługuje na uwagę, ale role Klary i Jakóba wymagają bardzo szczegółowej analizy, która zaprowadziłaby mnie za daleko. Nadmienię więc tylko krótko, że p. Staszkowski i p. Duninówna nie wydobyli ze swych ról wszystkich szczegółów, które w sztuce psychologicznej pierwszorzędnego nabierają znaczenia.

*Stefan Gacki.*

# Koncert

(Na rzecz Stypendjum Im. M. Karłowicza).

Kiedy widziałem tłumy idące za trumną Karłowicza sądziłem, że są to czciciele jego Muzy twórczej. Pomyliłem się! Sala koncertowa świeciła pustkami! Podobno przeraziły publiczność wysokie ceny. Ale... przecie występy Battistiniego i Durowa też są dobrze opłacane i... popierane!

Przeszło wrażenie tragicznej śmierci — kabarety rozbrzmiewają gwarem, w Momusie wybuchy śmiechu. Warszawa się bawi. Któż się będzie troszczył o losy stypendjum i uczczenie człowieka, który zapisał wszystko, co posiadał, na instytucję artystyczno-społeczną?

I teraz staje się bardziej zrozumiałym smutek wielkiego kompozytora, który nie mógł znieść stosunków warszawskich i uciekł od hałasu i wrzawy małostek szarego życia!

Wszystkie utwory, które słyszeliśmy na koncercie, cechuje jedna i ta sama silna nuta melancholji, dążenie do refleksji środkami najbogatszej palety instrumentacyjnej, której pozazdrościć może największy z mistrzów. Polifonja płynie z łatwością, melodja przemawia szerokimi rzutami, modulacje są zawsze umotywowane. Wszystko, co tylko talent i kultura spólczesna dać mogą, — posiadał Karłowicz. A więc wiedzę i natchnienie, a rezultatem stały się dzieła skończone, chluba naszej ubogiej jeszcze literatury symfonicznej. *A. Ml.*

# Z PRASY.

**Zadaniom Zjednoczenia Postępowego** poświęca *Myśl Niepodległa* wstępny artykuł 93-go zeszytu wyrażając w nim wiarę w zbawienne następstwa dokonanej secesji, w przyszłość stronnictwa i jego poważne znaczenie dla społeczeństwa. Jednym z pierwszych jego zadań — wedle M. N. to praca „nad umózgowieniem Polski". „Jedyna walka, jaką Zjednoczenie Postępowe ma w tej chwili do stoczenia, to walka z głupotą". Następnym zadaniem jest przywrócenie Polsce powagi, którą obniżyła pseudopatryjotyczna bufonada Narodowej Demokracji.

„W takiej chwili (jak obecna) — choćby najmniejsza garsteczka ludzi kultury, złączona i przepojona ideją cywilizacyjnego podniesienia narodu, ma wielkie zadanie przed sobą. A ponieważ postępowcy nasi składają się z żywiołów, które przeszły przez szkołę dawnych pozytywistów, przeto oni są nietylko powołani, lecz niejako wybrani do spełnienia tych zadań".

Stanowisko *Myśli Niepodległej* jest dla nas jednym więcej dowodem, że krok, który stronnictwu zjednał życzliwe poparcie wszystkich prawdziwie postępowych żywiołów, odpowiadał istotnie właściwemu charakterów i tej grupy, która się *Zjednoczeniem* postępowym mianuje.

# KRONIKA.

— „Now. Ruś" donosi, iż główny zarząd sądów wojennych rozesłał okólnik, polecający aby sądy wojenno-okręgowe podczas badania spraw zwracały uwagę na dowody obrony przedstawiane przez oskarżonych i aby unikały wydawania wyroków śmierci w sprawach pomniejszych, oraz aby nie sądziły spraw podległych z prawa innym instytucjom.

— Z powodu przepełnienia więzień, Ministerjum sprawiedliwości na rozszerzenie takowych uzyskało kredyt w wysokości 415,000 rubli.

— „Ruskoje Słowo" donosi, iż sprawa rewizji senatorskiej w Królestwie Polskim ostatecznie została zdecydowaną. Dokonanie rewizji polecono senatorowi Turauowi.

— W dniu 20 b. m. rozpoczęły się ponownie rozprawy sądu partyjnego w sprawie Brzozowskiego.

— Poseł do Dumy Gierasimow podczas rozpraw nad preliminarzem wydziału więzień przytoczył następujące dane statystyczne: W roku 1896 było osób uwięzionych w Państwie Rosyjskim 85,000, w 1906 osób 95,000, a w dniu 14 lutego 1909 było uwięzionych osób 181,000.

— Z Petersburga donoszą, iż część posłów grupy odrodzenia oraz bezpartyjni postanowili utworzyć w Dumie nową frakcję p. n. „postępowej".

— Duchowieństwo prawosławne na Chełmszczyźnie postanowiło wziąć szeroki udział w życiu społecznym i zakładać dla ludności tamtejszej instytucje handlowe w rodzaju towarzystw wzajemnego kredytu, kooperatyw i t. p. Ponieważ przepisy kanoniczne duchownym prawosławnym zakazują brać czynny udział w takich instytucjach, przeto Święty Synod wziąwszy pod uwagę miejscowe warunki, udzielił im specjalnego zezwolenia.

— W dniu 16 b. m. zmarł znany w szerokich kołach Warszawy lekarz Teodor Dunin.

— Zmarły przed kilku dniami znany lekarz Teodor Dunin zapisał testamentem swoje zbiory artystyczne, jako to: obrazy, rzeźby, akwaforty, porcelany, bronzy i t. d. Krakowskiemu Muzeum Narodowemu. Instrumenty medyczne oraz bibljotekę zapisał swoim asystentom.

— W Wiedniu zmarł nagle d. 23 b. m. hr. Wojciech Dzieduszycki, wybitny polityk polski, poseł do Rady Państwa i były minister dla Galicji.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

**Sekretarz redakcji** przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Korespondencji** nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

**Przedpłatę przyjmują:** Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

**Administracja otwarta codziennie,** z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.





Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.